B1BU0TECZKA iłTOTETOW LODOWYCH 1 MŁODZIEŻY SZKOLHEJ — 65

WACŁAW SIEROSZEWSKI

KULISI

YDANIE DRUGIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA - KRAKÓW—LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ - WILNO — ZAKOPANE

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ '

1. KONOPNICKA M. Dym. Wyd. 6.................................0-25
2. KONOPNICKA M. Banasiowa. Wyd. 5........................0-20
3. KONOPNICKA M. Nasza szkapa. Wyd 7............. 0-50
4. KONOPNICKA M. Niemczaki. Wyd. 5.................0’20
5. ŻEROMSKI ST. Siłaczka. — Na pokładzie. Wyd. 4 0’35
6. PRUS B. (Aleks. Głowacki). Antek. Wyd. 6 . . . .0’35
7. PRUS B. Na wakacjach. — Katarynka. Wyd. 5 . .0’30
8. ORZESZKOWA E. Siteczko.—Czy pamiętasz? Wyd. 4 0’25
9. ORZESZKOWA E. Babunia. Wyd. 4 . ‘........................ 0’30
10. ORZESZKOWA E. Ogniwa. Wyd. 4..............................0 40
11. ORZESZKOWA E. Panna Antonina. Wyd. 4 ... . 0’45
12. ORZESZKOWAE. A. B. C. Wyd. 5................................0-40
13. SIENKIEWICZ H. Janko Muzykant. — Latarnik. Wyd. 9...0-35
14. SIENKIEWICZ H. Wspomnienia z Maripozy. — Jamiol. — Organista z Ponikly. Wyd. 4..............................0’35
15. SIENKIEWICZ H. Bartek Zwycięzca. Nowela. Wyd. 6 0'60
IG. GALLE II. Czytanki polskie dla Uniwersytetów Ludowych. I. Wyd. 3.................................... ’.................... 0-90
17. GALLE II. Czytanki polskie dla Uniwersytetów Ludowych. II. Wyd. 3..0-95
18. REYMONT WŁ. ST. Wiosna. (Z powieści «Chłopi»)
19. REYMONT WŁ. ST. W porębie—Przy robocie. Wyd. 2 0-25
20. REYMONT WŁ. ST. Tomek Baran. Wyd. 3 0-50
21. REYMONT WL. ST. Pewnego dnia. Wyd. 3. ... 040
22. JUNOSZA KL. Łaciarz. — Froim...................................0T0
23. KRASZEWSKI J. I. Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu. Wyd. 3... 0’25
21. KRASZEWSKI J. I. Upiór. Wyd. 2.................................0'40
25. KRASZEWSKI J. I. Z dziennika starego dziada. Wyd. 2.. 0'40
26. KRASZEWSKI J. I. Profesor Milczek. - Rejent Wątróbka. Wyd. 2.. 0-25
27. KRASZEWSKI J. I. W oknie. — Nauczyciele sieroty. Wyd. 2.. .0’40
28. RZEWUSKI II. Kazanie konfederackie. Ksiądz Marek.—(Z pamiątek JPana Seweryna Soplicy). Wyd. 2 0'25
29. RZEWUSKI H. Tadeusz Rejtan. (Z «Pamiątek JPana Seweryna Soplicy»). Wyd. 3... 0-25
30. RZEWUSKI H. Sawa. — Pan Borowski. (Z «Pamiątek JPana Seweryna Soplicy») Wyd. 2............................ 0'40
31. SIENKIEWICZ H. Pieszo przez Czarny Ląd. (Listy z Afryki) I. Wyd. 3..0-50

BIBLIOTECZKA OH1WERSYTETOW LODOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLHEJ — 65

WACŁAW SIEROSZEWSKI

KULISI

[Powieść chińska]

WYDANIE DRUGIE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA - KRAKÓW — LUBLIN - ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ - WILNO — ZAKOPANE



SKŁADY GŁÓWNE:
«THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.» NEW YORK
«KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.» KATOWICE

KRAKÓW. - DRUK W. L. ANCZYCA 1 SPÓŁKI
19?0

Ze zbioru nowel pt. Powieści Chińskie (1905)

KULISI[1]).

Już drugi rok zrzędu straszna susza nawiedzała krainę Szlachetnej Żółtej Gliny[2]), starożytną kolebkę Chin. Klęska sięgnęła bajecznych rozmiarów, i nieszczęście przewyższyło miarę wyrazów. Starcy jedynie pamiętali coś podobnego z czasów dzieciństwa, gdy trzecia część ludności męskiej zmuszona była opuścić domowe pielesze [3]). Gniew

---

’) U w a g a. Kulisi jest to nazwa dzikich plemion, zamieszkujących Indje Wschodnie; następnie mianem tern oznaczano wszelkich wyrobników w Indjaeh, należących do niższych warstw ludności. Kiedy zniesiono niewolnictwo, Amerykanie przez agentów najmowali kulisów do robót w przemyśle i rolnictwie i wywozili do Ameryki, gdzie najemnicy, nędznie wynagradzani, pozostawali nieraz do śmierci. Ponieważ do owych agentów zgłosiło się też wielu Chińczyków, gdzie wskutek przeludnienia panuje nędza, nazwa kulisów rozszerzyła się na wszystkich wyrobników w Ameryce, przywożonych ze Wschodu (z Indyj i Chin).

[2]) Prowincja Gań-su w Północnych Chinach, gliniasta, niezmiernie żyzna płaskowyżyna. Tworzy ją olbrzymia warstwa losü — żółtej gliny marglowej.

[3]) T. j. gniazdo rodzinne, dom.

Wysokiego Nieba ucichł dopiero wtedy, gdy w liczbie wychodźców odeszli i grzesznicy. Ale któż w stanie jest odgadnąć, czy nie jego błędy wywołały gniew nadziemski?

Brak mężczyzn był tak wielki, że dobre obyczaje nie upadły li tylko dzięki świadomości, iż nowe grzechy nowe wywołają kary. Narodzenie się dziewczynki w smutek naówczas pogrążało rodziny. Minęły lata. Niezamężne dziewczęta z owych ciężkich czasów wyschły, zgrzybiały i zwolna wymarły, przeklinając występki ludzi, które pozbawiły je macierzyństwa. Obfite urodzaje wróciły zamożność ludności. Napełniły się śpichlerze, a mądre prawa Wszechwiednego Rozumu wyrównały ułomności życia. I znowu każda dziewczyna w szesnastym roku mogła słusznie spodziewać się narzeczonego, i znowu wąskie doliny Żółtej Gliny zagrały okrzykami dzieci, bawiących się nad brzegami potoków, łowiących tam ryby lub strzelających z procy. Znowu w mieszkaniach, wydłubanych rzędami w gliniastych urwiskach dolin, zaroiły się małe postaci czarnogłowego ludu[1]), znowu z otwartych okien wiejskich szkółek, upiększonych czerwonemi, niebieskiemi i zielonemi kaflami, popłynęły głośno wyśpiewywane nauki starożytnych mędrców.

Ale oto znowu przyszło bez żadnej napozór przyczyny nieszczęście! Już w roku zeszłym zbiór pszenicy był marny. Troska zajrzała nawet do zasobnych gospodarstw, i niewielu wieśniaków miało pewność, że do przednówka starczy im własnego

---

[1]) T. j. Chińczyków,

chleba. Zawczasu zabiegliwe rodziny jęły starać się o pokarm dodatkowy. Codzień od świtu do późnego wieczora wszyscy, nie zajęci w polu, dzieci, starcy, kobiety — przebiegali okolicę, szukając jedzenia. Z pilnością wielką zbierali rośliny jadalne, kopali pożywne korzonki, łowili wszelkie twory, poczynając od ptaszków, myszy, żab, oraz ślimaków, a kończąc na konikach polnych i szarańczy. Te ostatnie, choć są chude i z pozoru marne, podsmażone jednak na patelni na wolnym ogniu, przedstawiają zawsze coś lepszego, niż zupełny brak pokarmu. Wkrótce z obszaru, dotkniętego suszą, znikło wszystko, co dało się strawić. Zostało powietrze, woda i ziemia, a na niej wątła ruń zbożowa.

Tymczasem nic nie zapowiadało zmiany.

Słońce wschodziło codzień na niebie bez chmur i biegło przez błękity, ziejąc żary, jak smok okrutny. Nadeszły, budząc nadzieje, święta «Zmiany Wiatrów» i... minęły... a deszcze nie spadły. Na wysokościach, na żyznych górskich rolach wzeszłe źdźbła zbóż strzelały rzadko wśród grudek żółtej ziemi, zakurzone i ostre, jak szydła. Niektóre zwinęły się w dudkę, choć nie odrosły i na dwa cale. Kurz wypełniał natychmiast dudki i dusił charłacze niedonoski kłosów. Gospodarze kiwali smętnie głowami i godzili się na to, że, jeżeli tak dalej pójdzie, ziemia nie wróci rzuconych w nią nasion.

Troski obiegły starego Szań Chaj-su, głowę najbiedniejszej i najliczniejszej rodziny we wsi Tun-guań.

Wieś od wieków objęła w swe posiadanie

brunatne, gliniaste urwisko nad potokiem Guań-cho i podziurawiła go aż pod szczyt oknami i drzwiami swych pieczar mieszkalnych. Zdaleka góra wyglądała jak ogromna kolonja grzebieluch-jaskółek. Mieszkańców jej jaskółcza łączyła zażyłość i jaskółcze obyczaje. Za lada sygnałem roje ich wysuwały się z otworów i kupiły się na gzymsach i mostkach powietrznych, zastępujących schody i ścieżki. Obrona tych sadyb była łatwa przed łotrzykami, których wszędzie wałęsa się dużo, szczególnie w latach klęski, i powódź najgwałtowniejsza nie dosięga ich nigdy.

Niższe piętra zostały zajęte wcześniej, wyższe później, w miarę potrzeby. Każde z nich powstawało w ten sam sposób: ściosywano górę na gzyms lub, gdzie tego zrobić nie można było, urządzano mostki wiszące i żłobiono nowe mieszkania.

Podobnie i Szaniowie stworzyli swe piętro.

Z początku drążyli oni izby jedna za drugą, równolegle do ściany urwiska i przebijali do nich okna, w które wstawiali drewniane ramy. Pokoje były widne, suche, w zimie ciepłe, a w lecie chłodne — słowem, były o wiele lepsze od budowli naziemnych. Ale miały tę niedogodność, że nie mogły ciągnąć się bez końca. Po niejakim czasie mieszkania Szaniów zetknęły się z mieszkaniami Tiniów, którzy również mnożyli się i powiększali swoje siedziby. Okoliczność ta zmusiła obie rodziny do wrzynania się w głąb góry. Powstały ciemne, posępne alkowy, które zamieszkiwały zazwyczaj dzieci i młodsze małżeństwa. W jasnych pozostali starcy, potrzebujący więcej powietrza i światła, oraz bawół,

który miał prawo do szczególnych przywilejów, ponieważ zwykle był w rodzinie jeden.

Życie w jaskiniowej wiosce tętniło wesoło, i urozmaicone, gdyż, gdzie dużo ludzi, tam dużo wypadków. A trudno je było ukrywać, skoro cienkie dziurkowate ściany przepuszczały doskonale głosy. Ciekawość na wsi nie jest rzeczą błahą i naganną, jak gdzie indziej. Czuwa ona wciąż nad prowadzeniem się pojedyńczych osób i utrudnia im zboczenie z drogi cnoty. Tysiące oczów śledzi każdego, i tysiące umysłów gani go lub pochwala. Najlepiej więc czuje się ten, którego sumienie pozostaje w zgodzie z sumieniem ogółu. Stąd płynie poszanowanie obyczajów i skrupulatne spełnianie obrządków.

Codzień na wszystkich piętrach było wiadomo wszystkim, co się gdzie stało. Nie przedstawiało to znowu wielkich trudności. Życie większości upływało nazewnątrz na gzymsach i powietrznych ganeczkach, gdzie przed każdem siedliskiem mieściło się ognisko, kuchnia i leżały zapasy paliwa. Za paliwo służył zwyczajnie suchy pomiot zwierzęcy, skrzętnie zbierany po polach i drogach przez najmłodszych członków rodziny — wieczny powód do zwad i bijatyk wśród dziatwy, gdyż należał on od najcenniejszych przedmiotów w tym kraju, w którym znano drzewa jedynie z opowiadania.

Od lat wielu co rano ku oszczędnie podsycanemu, ledwie dymiącemu się ognisku wychodził stary Szań Chaj-su i wznosił ku niebu łzawiące się od wieku i trudów oczy. Na ganeczkach, zwisają-

cych wokoło nad bledniejącą w brzasku przepaścią, stały podobne doń postaci w niebieskich nankinowych [1]) bluzach i żółtych, słomianych, do strzech podobnych kapeluszach. Twarze wszystkich zwrócone były dogóry, warkocze im zwieszały się daleko na plecy.

Z góry przez szczelinę wąwozu spoglądał na nich wąski pas błękitu, a w dole głucho szumiał burzliwy Guąń-cho. I do szczytu, i do dna wąwozu było równie daleko, i głosy ludzi z łatwością zwyciężał łoskot potoku oraz wycie wichru, hałasującego w górze na wyniosłych polach pszenicy.

— Zacny sąsiedzie, wiekowy Szaniu, twój młodszy brat składa ci życzenia nowego dnia!

— Ojcze nieskończonej ilości potomstwa, zgrzybiały Taniu, czy jest źle, czy dobrze, i jak smakowała ci dzisiejsza kasza?! [2]).

— 0, o!... Przewinienia ludzkie wyczerpały cierpliwość Niebios. Nigdzie kropli rosy, nigdzie śladu chmurki!...

— Nadomiar na wyniosłościach swawoli Smok Zachodni! Widać stąd, jak od jego oddechu drżą i kołyszą się trawy na brzegu przepaści!

— Zginie nietylko pszenica, ale i ogrodowizna!

— Jęczmień pożółkł, jak ziemia!

— Czy nie czas, aby zeszli się w szkole ludzie roztropni i pogadali o drodze do zgody?!

---

[1]) Nankin, — rodzaj tkaniny bawełnianej.
[2]) Zwykły sposób powitania u narodów wschodnich.

— Rozum radzi oddać zawczasu część, aby uratować wszystko.

— Wszyscy, myślę, chętnie wysłuchają ust bezzębycli i pomarszczonych latami.

— Trzebaby uwiadomić Sian-lao (wójta).

— O, tak! Poślę natychmiast doń wnuka!... Czy zgoda! Hę?!

— Zgoda, łaskawy Szaniu. Myśmy gotowi! — rozległo się ze wszystkich galeryj.

Wkrótce na gzymsach burego urwiska ukazały się długie procesje cieniów w niebieskiej odzieży i stożkowatych żółtych kapeluszach. Szły wolno w jednym kierunku, gdzie w ukośnych promieniach słońca, które niewiadomo skąd prześlizgnęły się do wnętrza wąwozu, błyszczały barwne upiększenia z kafli polewanych i złocone napisy wiejskiej szkoły, wykopanej w najlepszem miejscu urwiska.

Za mężczyznami wyskoczyły z izb dzieci i, zatrzymawszy się na krawędzi gzymsów, patrzyły na ojców i dziadów ciekawie. Twarze kobiet migały w kwadratowych okienkach. Wieś poruszyła się do głębi, do komnat najdalszych.

Nauczyciel, uprzedzony o gromadzkiej wizycie, włożył natychmiast czarną atłasową czapeczkę i okulary.

Choć czytać nie będzie, ale okulary zawsze dodają powagi! Uprzejmie witał gości przy wejściu, rad, że z powodu zebrania przepadły nudne lekcje, oraz że... znowu usłyszy wielekroć tytuł «Kwitnącego Talentu — Siu-caj». Wprawdzie nie zdał egzaminu, i nikt nie był obowiązany go tak tytułować, ale

grzeczni sąsiedzi woleli pamiętać o jego zasługach, niż niepowodzeniach.

— Nieporównanie biegły Siu-caj, jakże prowadzą się nasze prosięta?[1]) — powtarzali ojcowie po zwykłych powitalnych wykrzyknikach: ciń! ciń! uderzaniach rąk i wstrząsaniach pięści z przysiadaniem.

— O, śliczne kwiaty waszych ogrodów rodzinnych [2]) uczą się pilnie i posiadają nieprzeliczone zalety, ale nauka jest rzeczą niezgłębioną i nie może obejść się bez małych uderzeń bambusem! [3]).

— O tak! Wiemy o tern z własnego doświadczenia. Błagamy więc, abyś nie szczędził podniety. Od tego zapewne cierpią Twe szlachetne ręce, Siu-caj, ale...

— Cóż robić: każdy musi spełniać swe obowiązki, gdyż przez to jedynie spokój i powodzenie spłyną na ziemię.

— Gorzej, że deszczu niema!

— Jest to istotnie rzecz groźna, i każdy powinien szukać pilnie przyczyny jej na dnie sumienia. Źródło wszystkiego leży w sercach naszych, pełnych niedoskonałości, gdyż nie było widać ostatniemi czasy wpobliżu ani cudzoziemców,

---

9 Ojcowie mówią tak o swych synach; chińska grzeczność wymaga, by o sobie i swoich mówić pogardliwie, natomiast z przesadnemi pochlebstwami odzywać się o swoim rozmówcy i jego rodzinie.

[2]) T. j. wasi synowie.

[3]) Bambus — olbrzymia trzcina, rosnąca w krajach południowych; wyrabiają z niej najrozmaitsze przedmioty,

ani włóczęgów, zdolnych naruszyć harmonję wszechświata. Zresztą kto wie, czem można zmącić żywioły i wzbudzić gniew Wysokich Niebios?! Takich, co zdolni są zapamiętać wszystkie zapowiedzi mędrców starożytnych, Słoneczny Ojciec Narodu 9 słusznie wzywa, aby polecić im zarząd i nadzói’ Państwa... Reszta pozostaje ciemna, nieokrzesana, posiadająca co najwyżej jeden stopień naukowy. Ciemnota zawsze chodzi w parze z błędami!... Całą nadzieję naszą pokładamy słusznie w miłosierdziu Wszechogarniającego pierwiastka Wysokiego Nieba[2]).

— Dobrze powiedziano! — zgodzili się słuchacze i wznieśli poważnie do góry wielki palec ręki.

Zaczęły się obrady. Wszyscy mówili odrazu. Gwar rósł, gesty stawały się coraz szybsze i wyrazistsze, głosy krzykliwsze. Daremnie Siu-caj silił się znowu uciszyć rozhukanych, oczarować ich i pokonać swoją wymową. Mówił pięknie, kwiecisto, cytował nawet mędrców, ale... nadaremnie. Nikt go nie słuchał, gdyż wszyscy przyszli poto przecie, żeby coś powiedzieć. Podany przez nauczyciela projekt, żeby puścić ku niebu latawca z pięknie napisaną modlitwą, upadł wskutek braku uwagi i skupienia obradujących. Siu-caj krzyczał, ile sił stało, że gotów za małe wynagrodzenie wykonać projekt, że modlitwę napisze nie gorzej od

---

J) Cesarz chiński.

2) W religji Chińczyków pierwszorzędną rolę odgrywają niebo i ziemia. Niebo według nich jest ojcem, ziemia — matką wszystkiego, co istnieje.

kaligrafów stołecznych... Wszyscy przecież wiedzą, jak ładny ma charakter... Daremnie, nikt nie słuchał! Wreszcie ktoś zauważył, że ofiara ta, doskonała w innym wypadku, nie stoi obecnie na poziomie klęski.

Postanowiono zwrócić się bezpośrednio do bogini Miłosierdzia i oprowadzić jej posąg naokoło pól. Natychmiast zebrano pieniądze i wysłano deputację z Sian-lao na czele do Czży-sienia (naczelnika powiatu), aby dał pozwolenie. Stamtąd miała się ona udać niezwłocznie do pobliskiego buddyjskiego *) klasztoru.

Nazajutrz cała bez wyjątku ludność Tun-guania, uroczyście usposobiona i odświętnie odziana, wyległa na galeryjki i gzymsy swej wioski. Stali cierpliwie, gwarząc półgłosem, kolejno wyzłacani snopem promieni słonecznych, co, niby olbrzymia wskazówka, utwierdzona w górze, posuwał się po rudem urwisku. Wreszcie poprzez szumy potoku przebiły się dźwięki odległej muzyki.

— Idą!

Tłumy wieśniaków zbiegły na dno wąwozu. Nawet kobiety porzuciły domowe zacisza i pośpieszyły naprzeciw ukochanej bogini.

Były to pracowite, ogorzałe kobiety północy, o kształtnych kibiciach i mocnych nogach, nie zeszpeconych bindami[2]). Posuwały się lekko obok mężów, prowadząc za ręce dzieci.

---

9 Budda — przezwisko królewicza indyjskiego, założyciela religji buddyjskiej (żyl w VI w. po Chr.); w Chinach $^{2}/_{3}$ ludności należy do wyznawców Buddy.

[2]) Elegancja chińska wymaga, by kobiety miały drobne

A z głębi wąwozu zbliżała się tymczasem procesja.

Na przodzie szło dwóch służków klasztornych w żółty cli opończach. Jeden niósł wielką latarnię na długim kiju, drugi — ogromny wachlarz bogini, czerwony i suto złocony. Za służkami szła orkiestra, najeżona miedzianemi trąbami, błyskają-c.emi jak ułamki słońca. Potężny bęben kołysał się i warkotał poważnie na żołądku rosłego dobosza. Słodko brzmiące «lo» *) drgały na drążkach niosących je tragarzy, jak serca, świeżo wyrwane z piersi bohaterów... Piszczał flet, podobny do dzioba ptaka; świegotały skrzypce i mandoliny '[2]), naśladując miłe głosy polnych koników. Za orkiestrą płynął wysoko w powietrzu bronzowy posąg bogini, niesiony przez zakonników. Ogromny purpurowy parasol z potrójną frendzlą rzucał na twarz Łaskawej Pani wesołą łunę; jej oczy i usta uśmiechały się dobrotliwie: lewą ręką błogosławiła wszystko, co żyje lub ma się narodzić, prawą tuliła do piersi małego Buddę.

Dobroć i spokój, bijące od niej, napełniły otuchą serca zwątpiałe.

Tłum z okrzykami radości połączył się z procesją. Głośniej zagrała muzyka, lamowie zaśpiewali jękliwy hymn, zamożniejsi wieśniacy zapalili świece z barwionego wosku drzewnego i wonne trociciczki.

---

stopy; zamłodu więc bandażują dziewozynie nogi, krępując ich rozrost.

’) Rodzaj cymbałów.

[2]) Instrument stronny, podobny do gitary.

Po stromej ścieżynie z niemałym wysiłkiem wniesiono boginię na górne pola, gdzie słońce paliło niemiłosiernie i nieprzejrzane łany pożółkłych, chorych zbóż kołysały się w wietrze pod niebem bez chmur.

Długo procesja krążyła po niwach, wijąc się w obłokach kurzawy i ofiarnego dymu, niby pstry, wielonogi smok. Żółte, niebieskie, czerwone, złote i srebrne chorągwie, parasole, wachlarze, płomyki świec, skry ogni, blaski metalowych ozdób, błyski instrumentów mieniły się na kręgach niebiesko odzianego tłumu, jak cudna łuska na boskim potworze Lun *)•

Dwa dni następne minęły w naprężonem oczekiwaniu.

Po błękicie przepłynęła para białych obłoków. Ale widocznie grzechy mieszkańców Tunguania o wiele przewyższały wartość jednej procesji. Zamożniejsi gospodarze gadali już o drugiej, biedota jednak oparła się projektowi: po pierwsze dlatego, że wskutek wielkiego zapotrzebowania na posąg bogini zakonnicy znacznie podwyższyli cenę uroczystości, po drugie dlatego, że, zanimby przyszła kolej na ich wioskę, zboża byłyby zniszczone przez suszę, a pieniądze, zapłacone naprzód, bądź co bądźby przepadły.

’) Smok — Lun odgrywa w pojęciach Chińczyków bardzo ważną rolę; jest on symbolem sił twórczych złych i dobrych, przejawiających się w przemianach i zjawiskach życia. Są smoki wód, chmur, deszczów, wichrów, skał, rzek, podziemnych skarbów i t. d. Smok jest znakiem państwowym Chin, jak u nas biały orzeł.

Stary Szań Chaj-su chodził zasępiony. Dwaj dorośli nieżonaci jego synowie, Szań Ju-lań i Szań Szań-si, zdawało się, nie spostrzegali tego. Pracowali wesoło i pilnie, jak dawniej, choć wszyscy wokoło wybornie wiedzieli, że smutek starego ich się właśnie dotyczy.

Atoli pewnego wieczora mały Gao-ju, który czekał zawsze u podnóża ścieżyny na wracających z roboty braci, aby wleźć na kark którego z nich i «udawać słonia», rzekł krótko do siłacza Szań-si:

— Wiesz, bracie, postanowiłem, że nie będziemy od dziś tracić czasu na marne i zaczniemy nietylko wieczorem przyjeżdżać do domu, lecz i z rana będziemy spuszczać się na słoniu od progu... na sam dół. Czy zgoda?! Powiedz, że zgoda!... Ma-liu mówiła, że niedługo odejdziesz, a wtedy jakże będziemy udawali słonia?... Osądź sam, czy będę mógł wleźć na twoje plecy, jeżeli ciebie nie będzie?...

Ręka Si, przytrzymująca nogę brata, drgnęła.

— A kiedy ona mówiła?

— Dziś rano.

— Czy mówił kto więcej?

— Nikt nie mówił. Tylko posłano Wu Czania do stryjów na koniec wsi... Widzę, Si, że zupełnie zapomniałeś, jak postępuje słoń. Przeszliśmy koło chwastów, a ty wcale ich nie zerwałeś!... Czy zapomniałeś, że masz trąbę?

— Więc stryjowie byli? — spytał idący przed niemi Ju-Jąń.

— Wcale nie byli. Powiedzieli, że przyjdą wieczorem.

Młodzieńcy przyśpieszyli kroku. W domu napozór nic się nie zmieniło. Bratowe podały im przed wieczerzą miednice z gorącą wodą i kawałkiem flaneli do mycia, poczem wszyscy siedli do stołu — dorośli mężczyźni osobno, osobno kobiety i dzieci.

W spojrzeniach wszakże ojca i matki dostrzegli młodzieńcy coś, co ich zatrwożyło, ale o co nie śmieli się spytać.

Wkrótce zjawili się stryjowie, Szań Szo i Szań Łąj; na ołtarzu przodków zapalono świece i kadzidła, poczem otwarto krótką modlitwą radę familijną.

Szczegółowe i wszechstronne zbadanie środków oraz potrzeb rodziny doprowadziło do smutnych wniosków.

— Synowie moi, Ju-lań i Si, przybliżcie się! — wyrzekł zwolna Szań Chaj - su. — Słyszeliście wszystko i, myślę, zrozumieliście, że niema innego sposobu, jak udać się komukolwiek z nas po pieniądze i pokarm do bogatych południowych prowincyj. Choć jesteście pilnymi i posłusznymi pracownikami, staliście się obecnie dla rodziny ciężarem. Żeby coś zarobić, potrzebna praca, żeby coś zjeść, potrzebny pokarm. Grzechy ludzkie obraziły Niebo. Powinni odejść ci, co wywołali gniew jego. Ale kto i jak to uczynił, nikt nie wie, nawet sam winowajca. Inaczej odszedłby pewnie, aby wybawić krewnych oraz przyjaciół od mąk. Uczucia Nieba nie są znane nikomu! A więc powinno odejść

wielu, aby mogli zabrać z sobą niewiadomą przyczynę... Zresztą ten, kto będzie pilny, niewymagający, skromny, kto będzie szanował starszych, słuchał nakazów prawa i rad mędrców, ten zachowa swe oblicze, powróci do nas i będzie witany z miłością... Spodziewam się, synowie moi, że wrócicie i przyniesiecie z sobą dosyć pieniędzy na kupno dla starego ojca trumny, a dla żyjącego rodzeństwa — kawałka pola Niao-tzi, co przylega do naszych posiadłości. Naówczas szczęście nie opuści nas! Chciałbym widzieć to na własne oczy, ale stary jestem i lękam sie, że żegnam was na zawsze...

ML Jag«

— Poco, ojcze, mówić o śmierci? Gdziekolwiek los nas rzuci, będziemy pracować i oszczędzać, aby posłać ci pieniędzy i dostarczyć środków na podtrzymanie twego drogiego dla nas zdrowia. Czy z południowej prowincji, czy ze stolicy północnej, czy z krajów rudych barbarzyńców zamorskich, wysyłać będziemy pieniądze, będziemy pracować, oszczędzać... — śmiało odpowiedział Julań, postąpiwszy krok naprzód. Szan-si nie ruszał się. Silne jego ramiona obwisły, pełne łez oczy patrzały w ziemię. Oparty plecami o ścianę, silił się, aby nie zdradzić swej słabości... Bury wąwóz ojczysty ze spienionym na dnie potokiem, wąskie gzymsy wioskowych ścieżynek, czarne okna i drzwi mieszkań, wyglądających z urwiska jak gniazda jaskółcze, wyniosłe niwy, gdzie każdą skibę on tylekroć własnemi przerzucił rękami... bracia, towarzysze, sąsiedzi, chłopcy i dziewczęta... przechodzili przed nim w pożegnalnym korowodzie i znikli

w złotej, niepowrotnej przeszłości. Od dziś otwierała się przyszłość mglista i niewiadoma.

Ale Si był wychowany w starych, surowych prawidłach, gdy więc oczy obecnych zwróciły się ku niemu, i on podniósł do góry wielki palec ręki. Nic jednak nie wyrzekł.

— Chao! (dobrze) — odpowiedział za siebie i za niego ochoczo Ju-lań.

Wieść o zamiarach synów Szań Chaj-su z szybkością błyskawicy obleciała wioskę.

Sąsiedzi gromadnie schodzili się do nich, niosąc podarunki i wyrazy współczucia. Wzruszenie ogólne było szczere, gdyż wielu myślało o zbliżającem się i dla nich rozstaniu.

Szaniów lubiono we wsi za ich usłużność, skromność i pracowitość. Upominki wieśniaków składały się z przedmiotów tanich, ale niezbędnych w drodze; ten przyniósł kilka par słomianych podeszew, ów garść ryżu, tamten konopną szleje do noszenia tłumoczka. Byli tacy, co w datku złożyli monetę.

Siu-caj, który był równie biedny, jak uczony, nic nie przyniósł. Ale zato powiedział mowę, której głęboką wartość należycie ocenili obecni.

— Pełni męstwa podróżnicy, posłuchajcie starego gaduły... Omyłki są właściwością ludzką — zaczął on starożytnem przysłowiem — wiec unikajcie ich! Gdy przejdziecie Państwo Kwaitów i dotrzecie do brzegów Błękitnego Morza, nadewszystko wystrzegajcie się rudych djabłów zamorskich[1]).

[1]) Tak Chińczycy nazywają białych,

Nie są to ludzie, lecz owoc występnego związku małpy z gęsią, czego ślady zachowali w swych długich ptasich nosach i włosach, rosnących na twarzy. Są to barbarzyńcy, nie uznający Niebios, odrzucający rodzinę i przodków, co zrozumiałe jest ze względu na haniebne ich pochodzenie. Zręcznie budują okręty, wyrabiają przedmioty z metalów, stawiają domy, obmyślają dowcipne maszyny, ale celują przedewszystkiem w wyrobie narzędzi, służących do wszelkiego rodzaju zabójstwa. Łatwo zrozumiecie przyczynę tego, gdy powiem wam, że tajemnie żywią się ludzkim mózgiem i krwią pomordowanych. Stąd cudowna ich zręczność we władaniu materjałem wszelkim, stąd źródło ich okrucieństwa... Pokarm stwarza obyczaje! Miłośnicy ryżu i pszenicy — trudnią się ich uprawą. Myśliwiec wprawnie łowi zwierzęta, rybak poznał upodobania ryb... Okropni, biali zjadacze trupów są doskonałymi żołnierzami i przemyślnymi mordercami ludzi *)• Wprawdzie nie widziałem sam białych djabłów, ale możecie polegać na prawdzie słów moich, gdyż to, co mówię, czytałem o nich na własne oczy w ogłoszeniach, rozklejonych w Sinanie z rozkazu wice-króla. Zdawałem naówczas w tem mieście egzamin, i tysiące ludzi ze wszech stron napłynęło właśnie do stolicy prowincji. W ich liczbie byli tacy, co zbliska znali rudych cudzo-

---

[J]) Te zabobonne mniemania pospólstwa chińskiego na nieszczęście uprawnione są do pewnego stopnia okolicznością, że Europejczycy zjawiają się do nich przedewiszystkiem jako okrutni żołnierze, rabusie i niszczyciele bezmyślni,

ziemców. Wszyscy powiadali zgodnie, że biali są grubjanie, brzydko pachną, że mają oczy złe, przenikliwe, drapieżne... że nie znają się wcale na grzeczności i nie umieją obcować z ludźmi... Przyrzeknijcie mi, że będziecie ich unikać... Czy obiecujecie?!

— Obiecujemy, dobry i przezorny Siu-caj! — krzyknęli zgodnie wszyscy obecni, nawet ci, co zostawali w wiosce.

— Wystrzegajcie się również sądów i policji i... nie palcie opjum! — dodał poważnie ojciec.

— O tak! — potwierdzili obecni.

— Czy słyszałeś... mój ukochany, miły, starszy bracie?! — spytał cichutko mały Gao-ju, obejmując po raz ostatni grubą szyję Szan-si. — Obiecaj mi, że zawsze uciekać będziesz od rudych barbarzyńców, że uciekniesz, choćby widowisko było ciekawe...

Szan-si posadził sobie brata na karku, i wraz z innymi chłopcami zbiegli nad potok po stromej dróżynie, aby raz jeszcze zabawić się w słonia. «Słoń» bardzo ryczał i chwytał «trąbą» wszystkich, co niedość zręcznie umykali mu z drogi.

Kiedy po kilku dniach wytężonej wędrówki bracia wydostali się nareszcie z dzikiego labiryntu rodzimych wąwozów, ujrzeli przed sobą kraj rozległy, słabo sfalowany, przerżnięty szeroką rzeką, kręto wijącą się wśród zamglonych wzgórz. Ciepły wiatr niósł ku nim zapachy pól uprawnych i kwit.-

nących ogrodów. Okolica usiana była sadybami wieśniaków, klasztorami i pałacami bogaczów. Nad rzeką w oddali widniało miasto, otoczone murem wysokim, ponad którym wystawały szpice świątyń i wielopiętrowych wież. Bracia nigdy nie widzieli murowanych, piętrowych budowli, nie znali piękności wygiętych, potrójnych i poczwórnych dachów z błyszczącej, polewanej dachówki. Długo stali na miejscu zdumieni i oczarowani. Zdziwienie ich dosięgło szczytu, gdy dostrzegli drzewa i gaje, nieznane im dotychczas wcale. Wzruszeni i onieśmieleni, kroczyli wolno po wyjeżdżonej drodze, raz wraz oglądając sic wkoło. Jezdni i piesi mijali ich obojętnie. Nad polami, usianemi gęsto mrówczemi figurkami pracujących wieśniaków, pod potężnem sklepieniem niebios z grzędami białych, spokojnych obłoków przelatywały ciche, melodyjne, urywane głosy.

— Tutaj to już na pewno Znajdziemy robotę!— rzeki wesoło Ju-lań.

Szan-si, który zagapił się wtyle, pośpieszył do brata.

— Robotę, powiadasz?! Gdzie!...

— Nie wiem... Tutaj gdzieś... pewnie niedaleko. Ładny kraj!...

— Bogaty kraj! — zgodził się Szan-si i westchnął.

Szczególny zachwyt wzbudzały w braciach kanały do zraszania pól, wodociągi, prowadzące wodę ponad wklęsłościami ziemi od wzgórza do wzgórza.

— Skąd się ona bierze?! Wiesz co, Si, ona chyba płynie pod górę!... — krzyczał Ju-lań.

Poważny Si nie zgodził się z tem przypuszczeniem, i bracia posprzeczali się na dobre. Umilkli dopiero wtedy, gdy spostrzegli niedaleko od drogi poruszające się miarowo wielkie koło czerpiącej wodę maszyny. Trzej tędzy parobcy, trzymając się rękami za wysoką poręcz, nieustannie przestępowali z nogi na nogę, popychając w ten sposób skrzydła deptaka, przyczepione do obwodu koła. Wiadra chwytały kolejno wodę, wznosiły ją wysoko i wylewały do koryta.

— Szczęśliwego dnia!... Prosimy bliżej!... — zawołali robotnicy, dostrzegłszy przyglądających się im zoddala braci. Ci zbliżyli się.

— Czy nie pozwolicie nam, zacni, zgrzybiali ludzie... — zaczął Ju-lań wyuczone jeszcze w domu zdanie.

— ...Wyręczyć was chwileczkę w waszej ciężkiej i trudnej pracy?! — dokończył żałośnie Si, trącony w bok przez brata.

— Jesteśmy sami biednymi ludźmi, ledwie że zarabiamy na życie...

— Możemy wam pozwolić popracować niedużo, nie więcej, jak za fajeczkę opjum...

— Nie palimy...

— A skąd jesteście?

— Zdała.

— Oczywiście. Wymowa wasza nie tutejsza. A może jesteście dzikimi Lo-lo? *)

---

9 Plemię w południowych Chinach, resztka domnie-

— Nie. My jesteśmy z kraju Żółtej Gliny.

— Chos! Słyszeliśmy. Tam uprawiają pszenicę. Tam znajduje się sławne miasto Łań-Czżou. Piękny kraj, ziemia starodawnych ludzi... Cóż zagnało was w nasze nędzne okolice?...

Bracia w krótkości opowiedzieli o klęsce, jaka nawiedziła ich prowincję. W czasie rozmowy jeden z parobków ustąpił miejsca Si. Ten radośnie uchwycił się za poręcz i zawisł w powietrzu. Daremnie jednak przebierał nogami, siląc się trafić na pedały, nogi wciąż mijały skrzydła wału i uderzały w próżnię, aż chłopak oberwał się i upadł w błoto. Robotnicy rozśmieli się szczerze.

— Zapewne nasz daleki brat nigdy nie deptał wody. Zapewne świetny kraj jego nie potrzebuje podobnych głupich urządzeń. Tam zapewne zawsze w porę padają deszcze... Radzilibyśmy dalekim, czcigodnym braciom przystać do tragarzy. Tym potrzebne są tylko mocne ręce i chyże nogi...

Nie pozwolili braciom na nowe próby z deptakiem z obawy, aby nie połamali maszyny, ale na pocieszenie dali im się napić zimnej herbaty z fajansowego, oplecionego słomą imbryka.

Stąd bracia skierowali się wprost do miasta.

W miarę zbliżania się do wrót miejskich, ciemnych, jak przepaść, wysokich, jak górski wyłom, liczba przechodniów dokoła nich wzrastała gwałtownie. Szli długim sznurem gęsiego kwiaciarze

---

manych ludów tubylczych, przed przyjściem Chińczyków zamieszkujących wielką równinę chińską.

z koszami, przyczepionemi cio łokci. Szli ogrodnicy z warzywem. Owocarze nieśli na płaskich tacach stosy owoców, przejrzystych, błyszczących jak wyroby z jady, lub matowych jak kość słoniowa, malowana sandałem i purpurą. Piekarze głośno wychwalali swe gorące placuszki. Kucharze zapraszali na obiad. Balwierze dzwonili w małe dzwoneczki lub, posadziwszy klientów na czerwonych stołeczkach, w milczeniu golili im łby. Lekarze, siedząc pod parasolami, wychwalali swe leki. Kowale i bronzownicy kuli w otwartych kuźniach.. Warczały u ścian kola szmuklerzy. W sionkach siedziały pochylone nad krosnami niewiasty. W każdem nieledwie podwórzu widać było zajętych pracą ludzi: makaroniarzy, nawijających na wielkie motowidło cienkie nici ciasta, papierników, łowiących sitem papierową papkę, stolarzy, polturujących meble hebanowe, czarne, jak noc, lśniące jak marmur; widać było złotników, lakierników, snycerzy, malarzy, ledwie tykających zręcznemi palcami upiększanych przez się przedmiotów. W otwartych młynach z jednostajnym szmerem, podobnym do cicho opowiadanych bajek, obracały się wielkie kamienie, mieląc ziarno. Obok na pochyłych deptakach dreptali na miejscu, trzymając się za przecznicę, ludzie, i kroczyły powolnie osowiałe woły. A środkiem drogi płynęły nieprzerwanym łańcuchem wozy, . juczne konie, wielbłądy, osły, bawoły... Ręczni woźnice toczyli przed sobą małe, lekkie taczki, naładowane towarem. Mulnicy, wolarze, furmani prowadzili za sobą uprzężne bydlęta. Grzmot kół, skrzypienie osi, ryk zwierząt,

gwar głosów ludzkich, skrzyp maszyn, dźwięk uderzanych metali zlewały się w ogłuszający łoskot, potężniejszy od huku rodzimych potoków, porzuconych niedawno przez braci...

A wszystko wzmagało się, skupiało, płynąc ku miastu, które, niby ogromny podziemny wodospad, wrzało wewnątrz straszliwie i chłonęło bez śladu ciżbę w swych ogromnych, rozwartych narozścież wrotach.

Gdy bracia, porwani potokiem ludzi, wpadli do wąskich ulic miasta, stracili ostatecznie głowę. Już nie hałas ich oszołamiał — nie słyszeli go prawie — lecz zdumiewało otoczenie. Z obu stron długiej, jak wąwóz, ulicy ciągnęły się sklepy różnobarwne. W czarnych otworach ich otwartych drzwi i okien widać było stosy rozmaitych ślicznych towarów, naczyń bajecznej piękności, owoców i przysmaków, na których widok płynęła do ust ślina. Kupcy i klienci siedzieli razem i popijali w chłodzie herbatę. W górze nad sklepami strzelały wysoko rzeźbione z drzewa desenie, zwieszały się złocone deski szyldów, kolorowe latarnie, znaki kupieckie, chorągwie, girlandy papieru i kwiatów, niby gęsta tęczowa frendzla, poto tylko wymyślona, aby złote promienie słońca rozbić na tysiące dziwacznych snopów, plam, smug, osnuć je siecią zmiennych, migotliwych cieni.

W dole szumiały bezustannie gwarne, ruchliwe, kapryśne ludzkie fale. Chwilami tłum milkł i kulił się do ścian, gdy przejeżdżał konno znakomity pan z orszakiem sług, brzęczących jak rój pszczół. Przechodziły pogrzebowe procesje w bia-

łych szatach z muzyką, biegły orszaki weselne z czerwonemi skrzyniami podarków i czerwonym palankinem[J]), w którym za czerwoną firanką lękliwie chowała się młoda dziewczyna. Gdy orszaki spotykały się, tragarze zwykle nie szczędzili sobie wzajem wymysłów i przekleństw. Ciekawi zaraz otaczali ich, i tworzyła się zbita tama ludzka nie do przebycia.

Braci, przyzwyczajonych do przestworza, strasznie męczyło nieustanne krążenie wśród tłumów. Szukali miejsca, gdzieby mogli przysiąść i wytchnąć, ale znaleźć go nie mogli. Wszędzie znajdowali ludzi obcych, wrogich lub obojętnych, rozmawiających głośno o swoich sprawach i nie zwracających nawet ku nim głowy, wszędzie miejsca już były zajęte i zewsząd ich odpędzano. Dostrzegli wreszcie w wylocie ulicy błysk rzeki i skierowali się w tę stronę. Nad rzeką i na rzece ruch nie był mniejszy, niż w mieście. Tłumy statków małych i dużych sunęły w pochodzie bez końca. Czasem wolno przepływały rozkosznie przystrojone flagami i oświetlone różnokolorowemi ogniami «Ogrody upajających kwiatów» [redacted]). Bracia z ich powodu oberwali po głowie bambusem od policjanta z żółtym smokiem na plecach. Stróż porządku upomniał w ten sposób gapiowatych wieśniaków, aby mieli się na ostrożności. Ale oni źle rozumieli jego uprzejmość i w trwodze rzucili się ku mostowi, aby przejść do zarzecznej dzielnicy, która wydała

---

9 Pudlo na drążkach do noszenia ludzi.

[2]) Domy zabaw, herbaciarnie, restauracje i t. d.

się im cichsza i skromniejsza. Tuż u mostku stały gromadki piekarzy z przenośnemi blaszanemi kuchniami na bambusowych wózkach. Zapach gorących potraw przypomniał braciom, że od rana nie jedli. Lękliwie zbliżyli się do nadętego grubasa z czerpakiem w ręku, aby umówić się o strawę i zapłatę, gdy nagle Ju-lań poczuł lekkie, jakby wypadkowe dotknięcie do miejsca, gdzie nosił pęczek monety. Chłopak natychmiast chwycił się za pas, ale pieniądze już tam nie znalazł.

— Złodziej... ukradł... sapeki!...‘) — wrzasnął na całe gardło.

Gwar umilkł wpobliżu, tłum zmieszał się, ktoś począł uciekać. Bracia puścili się za nim w pogoń. Ale przeciwnik ich miał więcej zręczności i doświadczenia: unikał z łatwością przeszkód, omijał wozy i ludzi, nie zwalniając biegu, i wkrótce znalazł się na moście. Bracia krzyczeli i pędzili, ile sił starczyło, mimo to zostawali coraz dalej wtyle. Wtedy Ju-lań przypomniał sobie o starym obyczaju i ryknął rozpaczliwie, ratując swój cały majątek.

— Stój, zatrzymaj się... inaczej skoczę do wody, i śmierć moja niech spadnie na ciebie.

Jednocześnie chłopak zatrzymał się i przełożył stanowczo nogę przez balustradę mostu. Przechodnie stanęli i zwrócili ku niemu ciekawe spojrzenia, zatrzymał się i łupieżca.

— Zaczekaj — zawołał zdała. — Pogadamy!

---

i) Sapek — drobna moneta chińska; 5 sapeków idzie na jeden grosz.

Bracia szybko ku niemu podeszli.

— Sapeki... Moje sapeki... Oddaj mi sapeki!... — powtarzał Ju-lań, ciężko dysząc. Szan-si już miał wyrwać wiązkę z ręki rzezimieszka, gdy między nim i tamtym wyrosły niewiadomo skąd figury nieznanych ludzi. Złodziej cofał się, chowając za nie.

— To cały nasz majątek. Zginiemy z głodu!...— mówili bracia.

— A dlaczegóż to ja mam zginąć z głodu?... — odpowiedział złodziej. — Wrócę dobrowolnie moim starszym wiejskim braciom połowę pęczka, a połowę zachowam, jako wynagrodzenie za naukę... Inny wziąłby wszystko. Nie pragnę niczyjej zguby, i nie ma mój starszy brat poco skakać do wody. Jestem złodziej i staram się o to, aby ludzie pilnowali swego dobytku, mniej wtrącali się w cudze sprawy, a więcej zważali na siebie. Niech mój wiejski brat to sobie zapamięta, niech bierze swoją połowę i wystrzega się sądów i policji...

— Niech wystrzega się sądów i policji!... 0!... — potwierdzili obecni.

— Bierz swoją połowę i błogosław wspaniałomyślność zwycięzcy.

Twarz Ju-laniowi poczerwieniała z gniewu, miał ochotę krzyczeć, rzucać obelgi, kląć, wołać o pomoc, ale Szan-si pociągnął go za rękaw.

— Bierz pieniądze i zmykaj, gdyż możemy zmienić postanowienie — wołali złodzieje. — Już zwróciłeś na siebie uwagę żółtego smoka z tamtego końca mostu, i my oddamy mu cię w ofierze, abyś został ukarany za głupotę!

Jednocześnie niecnota zręcznie rozerwał rzemyk od pieniędzy, skrupulatnie odliczył połowę, wsunął ją do ręki Ju-laniowi i znikł w tłumie. Bracia, zauważywszy, że policjant istotnie ku nim zmierza, postarali się ukryć co prędzej, zgodnie z radą złodziei, napomnieniem ojca i własnym zdrowym rozsądkiem.

Takie były pierwsze kroki synów starego Szan Chaj-su w «Krainie Kwiatów», kipiącej życiem.

Zczasem bracia nabyli doświadczenia, nauczyli się wielu rzeczy, przeszli niejedną ludną i starannie uprawną dolinę, poznali niejedno miasto, odwiedzili setki wsi i fanz w poszukiwaniu zajęcia. Wszędzie jednak trafiali na odmowę i obojętność wśród tłumów, których niechęć nie malała w miarę posuwania na południe, lecz rosła. Skoro tylko wspominali o zajęciu, twarze obecnych kamieniały, spojrzenia ich stawały się nieuważne lub nawet wrogie, jakgdyby bracia popełnili przed chwilą występek.

Zasoby braci topniały, jak wosk w promieniach upalnego słońca. Nauczyli się zadowalać małą garstką ryżu dziennie, następnie jedli już co drugi dzień i nocowali nie w gospodach, lecz gdzie się zdarzyło. Wychudli, jak szkielety, odzież ich podarła się w szmaty, oblicza zezwierzęciały, spojrzenie utraciło przyrodzoną ufność i dobrotliwość. Staczali się zwolna coraz niżej w te koła, gdzie wszystko znika oprócz żądzy jedzenia.

Tymczasem wszędzie i wciąż odpowiadano im:

— Was wielu włóczy się tu takich... Dla wszystkich nie starczy... Idźcie do swoich...

— Do swoich?!... Czyż nie jesteśmy podobnymi do was Czarnogłowymi Synami Nieba? O Si, ty taki silny, robotny, najpierwszy wśród pracowitych, czyż i ty nic nie poradzisz?...

— Poczekaj, bracie, rychło dosięgniemy morza; tam, powiadają, w miastach nadbrzeżnych dużo pieniędzy i pracy...

— Do morza?... A jeżeli nigdy nie dojdziemy do niego?... Nie mamy nic, i jutro nie do nas należy!

Pokazał bratu rzemyk, na którym już ani jeden grosz nie wisiał.

— Przeklęci złodzieje!... Starczyłoby w sam raz...

— Nie przeklinaj, bracie, oni też, jak my... Co uczynimy, nie wiemy przecie?!... — szepnął Szan-si.

Nagle los uśmiechnął się do nich.

Niedaleko od miasta Czen-du-fu na stromej przełęczy, obślizgłej od spadłego deszczu, spotkali grono tragarzy, siedzących na piętach z fajeczkami w zębach. Dwa palankiny stały opodal na kamieniach. Koło jednego leżał wyciągnięty nawznak straszliwie chudy robotnik, koło drugiego rozmawiali, gestykulując, dwaj przyzwoicie odziani podróżni.

— Sień-szen! (łaskawcy) — zaczął Ju-lari drewnianym głosem żebraka. — Już dwa dni nie zarobiliśmy nic. Czy nie pozwolicie nam zastąpić się chwil-

kę, abyście mogli tymczasem wytchnąć w należytej mierze!

— Dobrzeście trafili. Jeden z naszych podźwigał się i umiera... Zwróćcie się, ot tam... — odpowiedzieli tragarze, kiwając głową w kierunku rozmawiających panów.

Bracia zbliżyli się do nich, kłaniając wielokroć. Wtenczas jeden z nich zwrócił się ku nim twarzą, i bracia... skamienili, pełni śmiertelnej trwogi. Nie dalej, jak na długość ręki, mieli przed sobą... rudowłosego barbarzyńcę, potomka małpy i gęsi!...

Patrzał na nich pytająco.

— Czego clicecie! — spytał rozmawiający z nim Chińczyk.

Bracia odzyskali przytomność i pamięć o swem rozpaczliwem położeniu.

— Sień-szen! — odpowiedział grzecznie stojący na przedzie Szan-si. — Już dwa dni, jak nic nie...

— Idąc, zauważyliśmy, że znakomitych podróżników spotkała mała niedogodność... — szybko przerwał bratu Ju-lań. — I chociaż mamy pilne sprawy do załatwienia w Czen-du, ale chcielibyśmy dopomóc znakomitym cudzoziemcom zgodnie z przysłowiem: «miłe są trudy dla przyjaciół!»

— Czy jesteście tragarzami?... — spytał przedsiębiorca Chińczyk, mierząc ich badawczem spojrzeniem.

— Nie. Ale bardzo jesteśmy zdolni do noszenia. Brat mój obraca najtęższym człowiekiem, jak piłką. Jesteśmy bardzo wytrwali i mocni, a chu-

dość nasza płynie nie z wad wewnętrznych naszego ustroju, lecz pochodzi od długiego postu na cześć pięciu bogów.

Szan-si słuchał, zdumiony wymową brata. Ona przewyższała nawet wymowę zacnego Siu-caj z rodzinnej wioski i zdolna była rozwiać najgłębsze wątpliwości. Mimo to przedsiębiorca nie śpieszył się z odpowiedzią.

— Dobrze — rzeki wreszcie. — Mogę dostarczyć wam sposobności do wyćwiczenia się w szlachetnem rzemiośle tragarzy i wkupienia się do sławnego ich stowarzyszenia. Dostaniecie pokarm obfity i pożywny, ale płacy nie naznaczę wam, zanim nie przekonam się o waszych zdolnościach.

Przebiegły Ju-lań ukrył swą radość i ruchem ręki wstrzymał brata, który zrobił gest gwałtowny.

— Czy jeden dzień próby z naszej strony nie będzie za wiele dla twego bystrego rozsądku Sień-szen?!

— Nie wątpię o zdolnościach waszych, ale przymioty wasze, przypuszczam, ujawnią się dopiero w pobliżu Czen-du...

Targ trwałby pewnie jeszcze długo, gdyby nie żałosny jęk, jaki wydobył się nagle z palankinu. Europejczyk nachylił się pośpiesznie do okna lektyki. Wtedy bracia zauważyli tam woskową twarz spoczywającej na poduszkach kobiety... Podróżnik zamienił z nią kilka cichych wyrazów i zrobił znak niecierpliwy przedsiębiorcy.

— Ruszajcie! — krzyknął ten na tragarzy.

— Przypuszczam, że możecie nam dać jeść, ponieważ nasz miłosierny uczynek uwalnia nas od zobowiązania względem pięciu bogów... — pośpiesznie wyrzekł Ju-lań.

Przedsiębiorca kiwnął głową, bracia dostali kilka pszennych placuszków, parę pak do dźwigania i orszak ruszył dalej.

Szaniowie nadzwyczaj szybko poznali tajemnice szlachetnego zawodu tragarzy. Po dniu wprawy Ju-lań już wołał nie gorzej od innych według zwyczaju:

— Och! — och!... o!

— Eche!... che!...

— E — cho — li!

— A — cho — li!

— I — chi — clii!...

A we dwa dni już zamieniał z przodownikami ■piewne ostrzeżenia.

— Chua — dy — cheń! (bardzo ślisko).

— Caj — dy — weń! (staję mocno).

— Tzo — tou — kao! (z lewej strony zawadzisz).

— Gaj — ju! (skręcam w prawo).

— Cjań — kun, lań — szou — kao! (przed nami rów, z boków przeszkody).

— Go — cuj — tao! (skacz, wal).

Dzięki wielkiej bystrości oczów i roztropności umysłu, młodszy Ju-lań lepiej od innych dostrzegał przeszkody na drodze i zręczniej ich unikał. Towarzysze wkrótce zrobili go przodownikiem.

Milczący Szan-si inne miał zalety. Nikt nie

dorównywał mu w posuwistości kroku, nie miał tak pewnych nóg, nie umiał dłużej od niego utrzymywać w równowadze palankinu przy wszelkich zwrotach i pochyleniach. Przedsiębiorca wyznaczył go niezwłocznie na tragarza chorej cudzoziemki. Z początku chłopak lękliwie oglądał się za lada poruszeniem lub jękiem «pokrewnych djabłu» barbarzyńców, ale stopniowo przyzwyczaił się do nich, polubił nawet włochatą, ale dobrą twarz «nosatego pana» i niósł jego chorą «gęś» pieczołowicie, jak drogocenne jaje cudownego smoka. Słabe jęki barbarzynki wzruszały go, niby wyrzuty sumienia za każdy krok niezręczny.

— Doskonale!... Zuchy jesteście!... — chwalili ich towarzysze.

— Będą z nich tragarze! — zgadzali się inni. — Pozostaje wam jedynie, po przybyciu do Czen-du, opłacić wpisowe do stowarzyszenia i wyprawić nam ucztę...

— Ale wpierw musicie nauczyć się ciągnąć opjum...

— Co wart tragarz, który nie pali. Bez opjum w drodze ani rusz!

— Czasem ani zjeść, ani ogrzać się, ani osuszyć niema gdzie... bez łyku dymu palcemby nie kiwnął! — uczył ich stary tragarz.

Lecz Szań-si nie potrzebował podniety. Nawet skąpe pożywienie przedsiębiorcy szybko wracało mu siły. Nabierał ciała; jego mięśnie zaokrągliły się, skóra stała się gładka i zaczęła błyszczeć, jak powierzchnia ogładzonego bronzu. Ju-lań był cie-

kaw wprawdzie narkotyku, lecz surowe spojrzenie brata zawsze wstrzymywało go w porę.

— Poczekam, aż się zapiszemy! — odpowiadał, gdy w chwilach wytchnienia ofiarowywano mu ponętną fajeczkę.

Braciom wydawało się, że nareszcie ich łaknące pracy ciała znalazły przytułek. Przedsiębiorca milczał, ale zdawał się być z nich zadowolony.

Wyprawa spuściła się z gór i dążyła przez obszerną, żyzną i ludną dolinę do przeciwległych wyniosłości, tonących w niebieskawej mgle. Po drodze raz po raz mijały ich gromadki przechodniów i tragarzy, witały ich okrzykiem wedle zwyczaju i biegły w swą stronę. Ale podróżnicy szli najśpieszniej i nikt ich nie wyprzedzał. Przedsiębiorca mimo to wciąż naglił tragarzy.

— Dzieci, jeżeli ta zamorska djablica umrze w drodze, nas mogą zaskarżyć przed sądem za brak współczucia dla gości Środkowego Państwa ‘). Przecie oni są uważani za gości samego Bogdychana[2]) i mają odeń «Wielki Blask Ochronny» [3]), z żółtą pieczęcią na żółtym papierze. Wyciągajcie więc żwawo nogi!

Tragarze wyciągali nogi i biegli, jak dropie ’). Cudzoziemka jęczała coraz żałośniej, a stary «gąsior» zamorski drżącym głosem powtarzał przedsiębiorcy:

---

[x]) Chiny.

[2]) Cesarz chiński.

’) Paszport.

'*) Rodzaj ptaka.

— Powiedz im, że za każdy dzień pośpiechu dam im lań *) srebra.

— Dzieci, zamorski djabeł znów się gniewa i wygraża na wypadek, gdyby żona umarła mu w drodze... Obyczaje ich zabraniają umierać w drodze!... — tłumaczył przedsiębiorca słowa barbarzyńcy i mrużył przebiegle oko.

Tragarze biegli bez wypoczynku, nie śpiąc i prawie nie jedząc. Niektórzy pocieszali się nadzieją, że może «barbarzyńca» nagrodzi ich w Czen-du za niebywałe trudy. Ale «barbarzyńca» widocznie oszalał, gdyż wciąż żądał większego jeszcze pośpiechu, jakgdyby ludzie mogli biec prędzej, niż starczą im nogi.

— Słuchaj, przedsiębiorco! powiedz im, że za każdy dzień wygrany do Czen-du dam im po dwa lany srebra, że dam im, ile zechcą.

— Dobrze, łaskawy panie, powiem im!

I znowu przebiegły Chińczyk opisywał najmitom w jaskrawych barwach gniew, potęgę i mściwość zamorskiego «gąsiora», jego zamiar uderzenia w «Wielki Bęben Sprawiedliwości» [2]) w pierwszem mieście, jeżeli żona umrze mu w drodze!...

Tragarze tracili siły, klęli, wreszcie zbuntowali się:

---

[1]) Moneta około dwóch rubli.

[2]) W miastach chińskich przed głównym zarządem stoi wielki bęben, w który uderza ten, co ma wielką skargę. Wtedy wychodzą policjanci, chwytają go i wiodą przed gubernatora, przed którym musi wykazać, iż krzywda jego jest wielka i słuszna, w przeciwnym razie sam zostaje ukarany za fałszywą trwogę.

— Dość... nie jesteśmy w stanie iść dalej! Nie winien, kto sił nie ma! Nie możemy dalej tak pędzić... Ko padł, Tzian padł, Czuj nie może nogą poruszyć... Wszyscy zginiemy od takiej roboty!...

— Zgoda! — powiedział przedsiębiorca po chwili namysłu. — Zostańcie z bagażem i dążcie, nie śpiesząc się, do Czen-du. Bej Kań zastąpi mię przy was. Zabiorę tylko Ju-lania i Szan-si, którzy poniosą chorą. Oni nie są dotyla wyczerpani, żeby nie mogli iść dalej, i sąd ukarałby ich najsurowiej w razie śmierci cudzoziemki. Wprawdzie oni nie należą do cechu tragarzy, ale zgodzili się zastąpić ich.

— Oczywiście! — potwierdzili tragarze. — Słuchajcie, jeżeli stary da wam nagrodę, podzielicie się z nami! — mówili do braci.

Do Czen-du-fu zostało trzy dni drogi. Pomimo nadludzkich wysiłków Ju-lania i Szan-si, zmalały ich orszak posuwał się bardzo wolno. Chora często mdlała i jęczała, Europejczyk zatrzymywał pochód, aby ją cucić i uspokajać. Dopiero czwartego dnia pod wieczór dosięgli oni przesmyku górskiego, poza którym leżała dolina Czen-du. Ze szczytu widać było w dole piękne, duże miasto, otoczone murem.

— Aby tylko dopaść do wrót przed zachodem słońca. Wtedy będziemy w porządku. W mieście niech sobie umiera. To już nas mało obchodzi!... Śpieszcie się więc, śpieszcie, chłopcy!... Już niedaleko, i droga z góry... — pocieszał braci przedsiębiorca.

Zejście było długie i przykre. Tworzyły je

złomy kamienne, ułożone w kształcie wielkich schodów. Miejscami droga szła po gzymsie urwiska, i podróżnicy musieli czekać i wołać na idących naprzeciw, aby się w szerszych wgłębieniach z nimi rozminąć. Przechodniów na drodze przybywało, i coraz trudniej było ich omijać. Niedoświadczeni bracia co chwila zaczepiali lub potrącali kogoś, narażając się na wymówki, groźby i obelgi. Daremnie wołali:

— Ustąpcie! Z drogi!...

Okrzyki ich zwracały jedynie uwagę i skupiały ciekawskich, co utrudniało pochód. Chora już nie jęczała: wychudła żółta jej głowa bezsilnie taczała się po poduszkach. Bracia z przerażeniem spoglądali na nią w krótkich chwilach wypoczynku, śledząc, czy aby jeszcze dyszy. Widok miasta pokrzepił ich. Ale zejście zbyt było długie, a mięśnie ich zbyt wyczerpane.

Słońce zachodziło. Czerwony krąg jego już dotknął krawędzią szczytu ciemnofioletowych wzgórzy. Podróżnicy przedzierali się z trudnością drogą od stóp gór poprzez tłum wracających z miasta wieśniaków. Z obu stron już migać zaczęły domy przedmieść.

— Dalej!... dalej... jeszcze trochę... jeszcze chwilkę... Z drogi przed umierającą cudzoziemką! — wołał przedsiębiorca, idąc przodem i zachęcając własnym przykładem padających od znużenia tragarzy.

Ci już od piętnastu godzin nie zrzucali z ramion drążka palankinu. Ciało ich płonęło, jak jedna rana, mięśnie szyi, rąk i pleców bolały, jakby

je odrywano od kości; nogi wprawdzie stąpały miarowo, ale bracia już nie zdawali sobie sprawy, czy idą naprzód, czy drepczą na miejscu. Podeszwy przy doknięciu piekły ich, jakgdyby stąpali po żarzących węglach. Oczy wciąż zachodziły im czerwoną mgłą.

— Dalej, dalej!... Już widać wrota... Zdaje się, że chcą je zamykać!

— Cóż, wy, łotry, zwalniacie kroku... Słyszycie?!... Sygnał słyszeliście?!... Nieszczęście!... — chrypiał przedsiębiorca. Przeraźliwy wrzask trąb miedzianych rozdarł powietrze. Bracia ocknęli się i otwarli oczy.

Niedaleko, ponad tłumem ludu wznosiły się wysoko ku niebu ciemne mury. Na niższym krużganku wielkiej baszty wjazdowej stała straż i grała na trąbach, błyskając miedzią w promieniach zachodzącego słońca. Przedsiębiorca coś krzyczał niewyraźnie i biegł ku wrotom, których otwór czerniał jeszcze, jak szeroko otwarta paszcza zgłodniałego węża. Tragarze z wysiłkiem szarpnęli się naprzód; Europejczyk biegł obok palankinu, ręką wstrzymując jego kołysanie.

— Z drogi!... z drogi... przed umierającą cudzoziemką! — krzyczał Ju-lań, jak obłąkany.

Tłumy pośpiesznie ustępowały. Ba! kto wie, co zamyśla demon, który zamierzał opuścić ciało konającej! Lepiej trzymać się odeń zdaleka.

Orszak posuwał się przejściem swobodnie. Odległość od wrót szybko malała. Wtem spostrzegli swego przedsiębiorcę, wylatującego, jak z procy, z bramy, a następnie ogromne szare wrzeciądze za-

wierające się za nim z łoskotem. Bracia jednocześnie stanęli, zachwiali się i przyklękli. Starczyło im tyle jednak przytomności, że ostrożnie opuścili palankin z chorą na ziemię. Tłum obstąpił ich, a oni legli nawznak i, zatoczywszy zaszłe bielmem oczy, z trudnością wydychali powietrze, wchłonięte we wzdęte potwornie płuca. Nie słyszeli, co mówił do nich przedsiębiorca, nie czuli, że kopał ich nogą, gdyż utracili przytomność...

Kiedy ocknęli się, dokoła było cicho i ciemno, a w górze nad nimi błyszczały miljardy gwiazd. Widocznie odciągnięto ich ze środka drogi na ubocze, gdyż znaleźli się blisko jakichś pustych, zamkniętych budynków. Wdali świeciły nieruchomo drobne, czerwone ognie, brzęczały zmieszane, urywane, głuche, nocne głosy, słychać było rżenie mułów, stuk desek, brzęk wędzideł i uprzęży. Od czasu do czasu dźwięk gongów[1]) i okrzyki stróży nocnych rozbijały na części miarowe ten koncert zasypiającego ludzkiego mrowiska. Bracia wstali i skierowali się ku najbliższemu światłu. Był to, jak słusznie przypuszczali, zajazd, pełen mulników i tragarzy. Obecni doskonale pamiętali o niedawnym wypadku na gościńcu, poznali braci i wskazali im oberżę, do której schronił się cudzoziemiec z żoną.

— Przedsiębiorca najął nowych tragarzy! Czy

---

[1]) Metalowa tarcza, w którą uderzają drewnianym miotem; służy do dawania sygnałów i jako narzędzie muzyczne w orkiestrze.

wam zapłacił? — pytali, kiwając ze współczuciem głowami.

— Nie zapłacił.

— Źle... Czy nie napijecie się z nami herbaty?! Siły wasze wyczerpały się do dna!... Zdaleka pewnie idziecie?!

Bracia chciwie łykali gorący, ożywczy napój i opowiadali o swych przygodach. Słuchano ich życzliwie i uważnie.

— Rozumie się, że przedsiębiorca powinien wam zapłacić! On nie daruje jednego czocha £) cudzoziemcom, bądźcie pewni. Ci, choć i barbarzyńcy, płacą do głupoty szczodrze... Zapłaci wam pewnie!... — pocieszano braci.

— Wypocznijcie w Czen-du i ruszajcie na południe nad morze. Tam zjeżdżają się ludzie z całego świata. Przypływają kupcy na żaglowych dżonkach i na ognistych wodnych smokach cudzoziemców! — radzono im jednocześnie.

Posiliwszy się trochę, bracia raźno udali się na poszukiwanie swego przedsiębiorcy. Znaleźli go przed bramą wskazanej im oberży.

— Czekałem na was! — szepnął tajemniczo. — Gęś umarła.

Bracia cofnęli się wtył.

— Umarła?... Zupełnie umarła? — pytali.

— Widzę, że wątpicie o tern. Jeżeli odważycie się pociągnąć za wąs rozgniewanego tygrysa, to ją wam pokażę...

Bracia namyślali się.

---

*) Drobna moneta, grosz.

— A jednak... Lepiej... pokaż!... — powiedział wreszcie Ju-lań.

— Ostrzegam was, że nie łzami płacze barbarzyńca, lecz krwią!

— A jednak... my lepiej zobaczymy! Idź ty pierwszy, Si! — nastawa! Ju-lań.

Przeszli ciemne podwórze, zastawione workami oraz pakami towarów, i skierowali się ku niskiemu budynkowi, w którego jednym końcu jaśniały sutem światłem okna kuchni, a w drugim przez otwarte drzwi widać było słabo oświetlone wnętrze pokoju. Z kuchni co chwila wypadali ludzie, niosący potrawy, lub wychylały się głowy kuchcików, wywołujących przygotowane już zamówienia. Koło otwartych drzwi kupiła się cichutko gromadka ciekawych i lękliwie zaglądała do wnętrza.

— Nic nowego?

— Nic. Wciąż siedzi i nie rusza się!

Bracia też zajrzeli do pokoju. Na stole mdło paliły się dwie świece z drzewnego wosku; obok na niskiej pryczy leżała cudzoziemka, a na stołeczku przed nią siedział cudzoziemiec i nie spuszczał błędnego spojrzenia z pociemniałej, zapadłej twarzy nieboszczki. Szan-si westchnął, żal mu było biednego barbarzyńcy. Ten może usłyszał westchnienie, gdyż podniósł swe straszne oczy i zwrócił je na drzwi. Chińczycy umknęli przed tem spojrzeniem w pośpiechu.

— Co? Widzieliście?!... — spytał triumfująco przedsiębiorca.

— Cóż zamierzacie począć?

— Oddaj nam nasze pieniądze i odejdziemy! — odpowiedział pokornie Ju-lań.

— Co takiego? Pieniądze?! Jakie pieniądze? Nie umawiałem się z wami za pieniądze. Nic nigdy nie mówiłem o nich!

— Jakto: nie mówiłeś?

— Mówiłeś przecie, że tylko z początku bierzesz nas... na próbę. Służyliśmy u ciebie kilka tygodni. Wkońcu z pośród twych sług wybrałeś nas, jako najlepszych tragarzy... — gorączkował się Ju-lań.

— Pracowaliśmy sumiennie! — wstawił Szan-si. — Kilka podeszew u nóg zdarliśmy, do dziś bolą, jak poparzone, w kościach łamie...

— Piękni tragarze! dwustu kroków dojść nie mogli, upadli na progu miasta ku wielkiej mojej hańbie. Nie zdążyliście nawet, jak należy, palankinu postawić i nadłamaliście róg pudła... Za darmo teraz nikt was nie weźmie. Cudzoziemiec do sądu was pozwie. A ja bronić was ani myślę... Naraziliście mnie na wstyd i na straty!

— Niech oddaje pod sąd! Nic nie mamy do stracenia. Siadaj, bracie, nie odejdziemy stąd bez pieniędzy! — wyrzekł posępnie Ju-lań.

— Siadajcie, siadajcie! — rozśmiał się przedsiębiorca. — A ja pójdę spać!

Udał, że odchodzi, i przez półotwarte drzwi podglądał zaniepokojny, co bracia poczną. Ci siedzieli z wyciągniętemi nogami i głowami, zwieszonemi na piersiach. Szań-si drzemał.

— Słuchajcie! — rozległ się za nimi po niejakim czasie słodki głos przedsiębiorcy. — Żal mi was!

Nie naciągajcie zbyt zepsutego łuku!... Kto wie, co się stanie, skoro ocknie się cudzoziemiec?! On umie się gniewać, jak jeden z siedmiu tysięcy podziemnych demonów. Bierzcie 50 sapeków (10 groszy) i uciekajcie! 50 sapeków są znaczną sumą w tych ciężkich czasach, i lękam się, że stracę... Nieprędko zarobicie taką moc pieniędzy...

— Daj... dwieście! — odpowiedział po namyśle Ju-lań.

— Dwieście?... Czy zmysły straciłeś? Skąd wezmę taką górę pieniędzy. Ale kiedy mam tracić, niech stracę: oto 75 sapeków... leżą tutaj... widzicie! — dodał, kładąc przed braćmi wiązkę monety.

Poczekał chwilę. Bracia nie ruszali się, więc odszedł, kiwając głową.

— Cóż, bracie, weźmiemy? — spytał Szan-si.

— Mało! — odrzekł chmurnie Ju-lań. — Należy się nam co najmniej pięset.

— Mało, ale zawsze lepiej, niż zupełnie nic. A stary oszust nie da więcej. Źle zrobiliśmy, żeśmy nie umówili się dokładnie. Ale wyznaję, bałem się mówić o tem wówczas', żeby nie stracić miejsca. Weżmy te pieniądze, skorzystajmy z doświadczenia i poszukajmy lepszej roboty. Nie warto być tragarzami. Tragarze nie robią oszczędności. My nic nie zbierzemy i nigdy nie wrócimy do naszego słodkiego Tun-guania. Wiesz, bracie, jakie jabym wołał zajęcie? Wołałbym zajęcie na fanzie[1]) lub na wsi. Kopałbym ziemię chętnie od wschodu do

---

[1]) Fanza, chata chińska.

zachodu słońca, polewałbym kwiaty. Tutaj wszystko rośnie tak bujnie, tak ślicznie kwitnie, owoce wiszą na drzewach złote i ciężkie, pewnie smaczne... Warzywa wyrastają ogromne, groch piąłby się pewnie do nieba, gdyby starczyło tyki.. . Chroniłbym rośliny od wiatru, od chłodu, poił słońcem i wodą, bronił od robactwa... — marzył głośno Szań-si.

— We wsiach u wieśniaków też się nie dorobisz! Pieniądze daje tylko handel. Ale z 75 sapekami nic nie można przedsięwziąć. Gdyby było choć 100, moglibyśmy kupić arbuza i rozprzedać go z zyskiem po kawałku. Ale... 75 sapeków to nic! Tych pieniędzy ledwie starczy na deseczkę i nożyk, a gdzież — arbuz? — rozważał Ju-lań.

— Chodźmy! Poprośmy o dodatek. Powiedzmy mu o naszych zamiarach. Przecież i on ma nietylko wątrobę w piersiach, lecz i serce! — radził Szań-si.

— A no, chodźmy! — zgodził się Ju-lań.

Skierowali się ostrożnie ku otwartym drzwiom, których kwadrat czerwono odrzynał się na tle nocy. Ostrożnie zajrzeli do środka. Po dawnemu paliły się mdło świece na stole u wezgłowia umarłej, a obok na małym stołeczku siedział nieruchomo cudzoziemiec. Przedsiębiorca chrapał w kącie na ziemi. Bracia nie odważyli się wejść do pokoju. Po niejakim czasie odeszli ostrożnie, wyszli za bramę i powlekli się ku murom miasta, wznoszącym się wysoko ponad domy i ogrody podmiejskie, jak skaliste urwiska. Tam znaleźli kątek zaciszny i usnęli smutni, stroskani...

Znowu nastały dla nich ciężkie dni bezrobocia. Ich handlowe nadzieje rozwiały się niesłychanie szybko. Nabyte na sprzedaż placuszki pszenne musieli zjeść sami, gdyż nikt ich kupować nie chciał. Nie zmienili jednak pierwotnego zamiaru, gdyż nie wiedzieli, co z sobą począć, i wciąż w wędrówkach swych kierowali się ku morzu. Wydawało się im ono jakimś promiennym portem zbawienia. Marzenia o niem podtrzymywały wątlejące ich siły. Ale musieli coś jeść tymczasem, więc szukali na śmietniskach wyrzuconych ochłapów i kości, staczali nawet o nie walki z równie nędznemi, jak sami, psami. Utracili wszelki wstyd, sprzedali resztki odzieży i nadzy, chudzi, jak szkielety, aby wzbudzić litość przechodniów, kładli się u drogi pod palącemi promieniami słońca, w błoto i kurzawę. Litościwi rzadko rzucali im kęs chleba, a jeszcze rzadziej monetę. Zresztą długo nie pozwalano im popasać na jednem miejscu. Wypędzali ich okoliczni żebracy.

— To nasze miejsce! Myśmy wcześnie je zajęli! Kto jesteście i skąd idziecie?!... Wyście nie z naszego związku... Odejdźcie!... — krzyczały rozwścieczone żółto-czarne szkielety, wymachując na przybłędów rękami.

Przez pola, szumiące zbożami, wśród rozkosznych ogrodów, owiani zapachem kwiecia szli głodni i nadzy od wsi do wsi, od miasta do miasta. Ludzi roiło się po okolicach coraz więcej, powietrze stawało się coraz cieplejsze, kopuła nieba ciemniała i sklepiła się potężniej. Nareszcie bracia spostrzegli na widnokręgu urwanej i postrzępionej ziemi błę-

kitną otchłań, podobną do nieba i zlaną z niebem. Zrozumieli, że są u kresu włóczęgi, i padli na kolana z wyciągniętemi rekami:

— Morze.

Droga, po której szli, nikła w labiryncie wielkiego miasta, otoczonego rozległemi przedmieściami. Na rzece, która wpadała do morza pod miastem, dostrzegli bracia wśród statków krajowych po raz pierwszy cudzoziemskie «ogniem ziejące smoki wodne». Poruszały się z hałasem, bałwaniąc wokoło wodę. Inne stały spokojnie u brzegu, przywiązane grubemi linami, a roje robotników ładowały do ich wnętrza towary. Takiego gwaru i ruchu na ulicach jeszcze bracia nie spotkali w swojej wędrówce.

— Tutaj na pewno znajdzie się robota dla dwóch ludzi! — powiedzieli sobie wesoło.

Zdziwili sic ogromnie i nawet rozgniewali się, gdy usłyszeli odmowną odpowiedź od pierwszej gromady ładowników, do których podeszli.

— Jakto?! Przecie tu morze!...

— Więc cóż?... Dużo tu włóczy się takich... Prócz tego widać po was, żeście dawno nie jedli...

— Nie jedliśmy dawno, i dlatego należy się nam pierwszeństwo. Nie obawiajcie się: mój brat Szan-si jest bardzo mocny!

— Niech podje przedtem... Niech sobie podje... — żartował przedsiębiorca.

Dzień cały chodzili bracia po mieście, szukając zajęcia i jadła. Ale i to nadmorskie miasto okazało się nielepsze od poprzednich. Poznali wkrótce dokładnie brudne, cuchnące jego zaułki i obejrzeli zda-

lęka bogate dzielnice cudzoziemców, gdzie wzdłuż szerokich, gładko brukowanych ulic wznosiły się wyniośle niepiękne, ale wysokie, jak wieże, domy. Wejścia do dzielnic tych strzegli policjanci i odpędzili ich uderzeniami bambusów. Wieczorem bracia wyszli nad brzeg morza i noc spędzili na deskach jednej z wielu przystani, gdzie łagodnie pluskały fale. Nazajutrz znów krążyli po mieście, ścigani złorzeczeniami ludzi. Nawet jałmużny dawano tu skąpiej i, gdyby nie ogromna ilość odpadków, biedacy umarliby z głodu. Obojętność bliźnich już dawno wydała się im rzeczą przyrodzoną i uprawnioną, gniewało ich jedynie niezrozumiałe okrucieństwo zamożnych, odpędzających ich nawet od śmietników.

— Wynoście się, wynoście!... Wszystko zabieracie. Po was ani kura, ani pies już się nie pożywi!... Albo skradniecie co jeszcze!... — wołali przekupnie i stróże, zoczywszy ich zdała.

— A skądeście to? — pytali litościwsi, zaciekawieni ich obcą wymową.

— Z kraju Żółtej Gliny.

— Jakto: z Gań-su? z tak daleka?! Pewnie jesteście zbrodniarzami, kryjącymi się przed sprawiedliwością!

— O nie! Jesteśmy biednymi chłopami, których z ojczystych domów wypędziła susza!

— Musicie być nielada próżniakami, jeżeli przeszliście całe podniebie *) i nie znaleźliście zajęcia. Udajcie się do chrześcijan, oni takich lubią!

---

[1]) Ziemię.

Pomimo wstrętu, jaki wzbudzała w nich religja, nakazująca spożywać ciało ludzkie [1]), bracia postanowili spróbować tego ostatniego środka.

— Można wypluć! — rozumował Ju-lań. — A skoro dostaniemy robotę, to już wpijemy się w nią, że nas nie oderwą. Co, bracie Si? czy zgoda?

— O, Ju!... Si zupełnie utracił rozum. On zgodzi się na wszystko.

Przechodnie wskazali braciom mieszkanie chrześcijan, piękny dom, stojący w głębi czystego podwórka. Poza domem zieleniał stary sad. Chińczycy lękliwie przemknęli się za wrota.

— A dokąd to? — zatrzymał icli odźwierny.

— My... do... Ja-Su! (Jezusa).

— Poco?

— Dawnośmy nie jedli. Już trzy miesiące szukamy pracy! — odrzekli razem. Serca biły im gwałtownie, gdy badawczy wzrok odźwiernego ślizgał się po nich.

— Skąd jesteście?

— Z Gań-su.

— Odgadłem po wymowie. I ja jestem stamtąd. Idźcie przez furtkę do ogrodu, tam znajdziecie ojca misjonarza.

Bracia, ucieszeni Lem pierwszem powodzeniem, pobiegli co tchu. Z łatwością odnaleźli w niedużym ogrodzie tęgiego mężczyznę w chińskiem ubraniu z cudzoziemską, gładko ogoloną twarzą. Podstrzygał i podwiązywal krzewy kwiatów. [9]

---

9 Tak tłumaczą sobie Chińczycy komunje..

— A czego tam? — spytał, nie podnosząc głowy.

— Dawno nie jedliśmy. Trzy już miesiące szukamy pracy... — razem odpowiedzieli bracia.

Misjonarz pracował dalej.

— Jesteśmy z Gań-su! — dodali.

— Dużo was tu takich się włóczy!... Nie starczy dla wszystkich strawy. Idźcie do kuchni, może co zostało, niech wam dadzą... — zamruczał cudzoziemiec.

Nędzarze nie ruszali się z miejsca.

— Jeszcze czego? Powiedziałem: idźcie do kuchni.

— Trzy miesiące szukamy pracy. Gotowi jesteśmy nawet ochrzcić się i zjeść, co każesz!...

— Tylko nie bardzo dużo. Dużo nie będę w stanie... — uczciwie przyznał się Szań-si.

— Co? Co takiego?

— Wszystko, co zechcesz: serce, wątrobę, oczy...

Misjonarz zerwał się z ziemi.

— Ach, łotry! Precz! Wiem, kto przysłał was, i czyja to robota?!... Ośmieszać święte tajemnice ustami pogan, aby zadowolić swe szatańskie namiętności i krzywdzić prawowiernych. Do tego zdolni są tylko zatwardziali papiści!... A, przeklęci heretycy!... Niech zginą w wiecznym ogniu! Przyznajcie się, że oni was przysłali!... — krzyczał misjonarz, jak wściekły.

— Cóżeś ty ich puścił? — zwrócił się z wymówkami do przybyłego na krzyk odźwiernego.

Ten popychał braci do wyjścia i kiwał im z wyrzutem głową.

— Cóż, nie udało się!... — wyrzekł ze współczuciem. — Już idźcie, bo i mnie wypędzą. Macie tu grosz... Odejdźcie w pokoju!

Z zapadłych oczu nędzarzy popłynęły łzy.

— Fu!... Już idźcie!... co ja mogę! Jestem biednym człowiekiem, jak wy... Daleko od swoich! — mruczał odźwierny.

Kupili za podarowany grosz placuszków i znów udali się nad morze, ale tym razem wyszli poza port, aby uniknąć podejrzliwych spojrzeń oraz wymyślań i w ciszy odpocząć, pogrzać się na słońcu i podumać.

Szmaragdowe, nieprzejrzane fal szeregi wzdymały się wdali i szły ku brzegom z rosnącym pogwarem. Każda, zdało się, groziła, że ziemię roztrąci, i umierała na mieliznach bez śladu, a na jej miejsce rodziła się na głębinach już nowa i tę samą niosła obietnicę.

Z portu, gdzie półkolem kołysały się senne okręty, nieustannie odbijały parowce i odchodziły wdał, zostawiając za sobą długie pieniste brózdy zmąconej wody, a w powietrzu kłęby wolno tającego dymu. Żaglowce, niby stada łabędzi z wzdętemi przez wiatr skrzydłami, mknęły lekko ku kresom, gdzie rozdzielała błękity oceanu i nieba cieniuchna smuga srebrnego połysku. Czajki krążyły nad nurzającemi się w przypływie głazami i rudą ławicą, daleko wrzynającą się w morskie roztocza.

— Chodźmy, bracie! Nic tu nie wysiedzimy nad wodą. Już zmrok! — rzekł Ju-lań po dłuższym wypoczynku. Szań-si spojrzał na brata, potem znów z odcieniem żalu skierował oczy na morze, następnie na port, na miasto i wstał.

— Dokąd pójdziemy?

— Pójdziemy na wybrzeże. Tam teraz lądują majtkowie i wypoczywają ładownicy.

Sklepy i szynki jaśniały ogniami. W wielu miejscach grała muzyka, i niesforne jej dźwięki, przebijając się przez gędźbę ludzkich głosów, kłóciły się z sobą. Herbaciarnie i oberże pełne były gości. Czarni, żółci, czerwoni, biali i brunatni mężczyźni, półnadzy lub odziani w pstre barwne łachmany, gawędzili wesoło, krzyczeli, sprzeczali lub śmiali się chrapliwie, zdradzając w ruchach i spojrzeniach gorączkę ciężkiej, tylko co porzuconej pracy. Sprzedajne kobiety już otwarły swe okienka, i gawiedź chętnie zatrzymywała się przed niemi i ciekawym, drapieżnym wzrokiem oglądała nagie, żeńskie postacie w srebrnych ozdobach na rekach i nogach, siedzące nieruchomo w oczekiwaniu gości na matach w swych maleńkich celach. Bracia przesuwali się ostrożnie, wśród tłumu, lękając się nadewszystko zaczepki, podejrzenia o kradzież, gdyż o byle co groziła im okrutna kara doraźna. Pięści tych istot nieszczęśliwych, dręczonych i poniewieranych, z dziką lubością spadały na karki jeszcze od nich nędzniejszych.

Ale nikt nie zwracał na braci uwagi — nikt też nie rzucił im kęsa, grosza, nawet litościwego spojrzenia. Spracowani, zajęci jedzeniem i piciem, nie mieli czasu na współczucie.

— Pójdziemy, bracie, spać bez jadła! — wyrzekł głośno Ju-lań.

Niespodzianie na dźwięk jego głosu idący przed nimi człowiek w niebieskiej opończy obejrzał się.

— Skąd jesteście? — spytał, zatrzymując się.

— Jesteśmy z Gań-su... Szukamy pracy... — pośpiesznie odpowiedzieli bracia.

Nieznajomy poprowadził ich ku drzwiom sklepu, skąd lało się światło na ulicę, obejrzał uważnie, obmacał ich mięśnie, kości, opukał piersi i plecy. Bracia czekali na odpowiedź z zapartym oddechem.

— Dobrze! Chodźcie za mną!... — powiedział wreszcie nieznajomy.

Poprowadził ich w głuchy zaułek, na otoczony wysoką ścianą plac, gdzie wkoło stały niskie, ciężkie budowle. Minęli kilka takich podwórzy, nim dostali się wreszcie do niedużego ogrodu. Tu w osobnym domu gorzały światła i huczała muzyka. Ale przedtem skręcili do małego domku, cichego i ustronnego. Nieznajomy stuknął kilkakroć we drzwi w znaczący sposób. Drzwi otwarły się, i bracia znaleźli się w niewielkiej mieszkalnej izdebce. Na stole paliła się europejska lampa, leżały papiery europejske i drogie europejskie przedmioty, widziane przez braci nieraz na wystawach sklepowych: zegarek, rewolwer, scyzoryk, gruba księga handlowa... Za stołem siedział Chińczyk w okularach i szybko pisał pędzelkiem. Nieznajomy zamienił z nim kilka wyrazów, wtedy ten podniósł do góry lampę i uważnie obejrzał braci. Poczem usiadł, zapytał ich, skąd są, ile mają lat, gdzie pracowali i co umieją. Wszystko notował na długim skrawku papieru.

— Zgoda! — rzeki wreszcie — dostaniecie 500 sapeków (pół rubla) zadatku, odzież, jadło, przytułek, ale musicie jechać za morze, gdzie wam każą, i robić

tam, co każą... I trwać to będzie, aż pokryjecie wydatki na przejazd i utrzymanie. Gdy zapłacicie wszystko i nie zrobicie nowych długów, wolno wam będzie wrócić do domu lub szukać gdzie indziej zarobku. Czy zgadzacie się?!

Bracia radośnie wznieśli duże palce do góry. Nie mieli zamiaru robić długów, nie mieli zamiaru próżnować, palić opjum i grać w karty, owszem, pragnęli oszczędzać. Chińczyk wziął blankiet z paczki, leżącej na stole, i szybko zapełniał rubryki drobnem pismem. Znów pytał ich, skąd są, z jakiej wsi, czy mają rodziców? Jak się zwą?...

Ponieważ bracia nie umieli pisać, więc zamiast nazwiska odcisnęli w dole zapisanego blankietu palce prawej ręki, umoczone w tuszu. Podpis poświadczył obecny w izdebce pisarz.

Braciom wydano natychmiast ubranie z grubego nankinu, które po tylu dniach nagości wydało im się szczytem zbytku, i z którem nie wiedzieli z początku co robić. Dostali również obiecane pieniądze, i zaprowadzono ich do oświetlonego domu w ogrodzie, gdzie grała muzyka.

Dom był pełen ucztujących ludzi. Wszystko, o czem zamarzyć jest w stanie dusza posiadacza 500 sapeków, znajdowało się pod ręką w niedużym sklepiku. Potrawy gotował na oczach gości kucharz w białym fartuchu. Obecni tworzyli grupy, rozrzucone po całej szopie. Grali w kości, w karty, w zgadywanie palców (morę), palili opjum, pili wódkę, pieścili kobiety, krzyczeli, żartowali, śpiewali... Ale większość poprostu chciwie pożerała jedzenie. Byli to przeważnie nędzarze wychudli do kości, jak bra-

cia Szaniowie. Ci *też* natychmiast kazali sobie podać gotowanego ryżu, wieprzowiny i grzanej wódki. Najadłszy się, usnęli snem ciężkim, zacisnąwszy mocno w pięściach resztę pieniędzy.

Nazajutrz zbudziło ich mocne kopnięcie nogi. Uzbrojeni w bambusy posługacze kazaji im wstać i powiedli ich do innego budynku, bliższego ulicy. Budynek, jak poprzedni, podobny był do wielkiej obory, zamkniętej mocno okutemi drzwiami. W małych okienkach miał żelazne kraty. Na podłodze glinianej wzdłuż ścian leżało tam dużo ludzi, wyłącznie mężczyzn.

Przez okienko od ulicy widać było błękitne morze z biegnącemi po niem okrętami, i dolatywał głuchy gwar portowego życia, zgrzyt łańcuchów, szczękanie wind, świst parowców i brzęczenie ludzkiego pracującego roju...

Odtąd w ciągu wielu lat bracia kulisi oglądali to życie wciąż jakby z więziennego okienka. Przepłynęli ocean, byli w setkach miast, przebyli koleją tysiące mil i przeszli niemniej piechotą, lecz wciąż mieli dokoła siebie straże, rygle, kraty, i wciąż gdzieś wpobliżu ich świstał bat lub pałka.

Poznali w owym czasie zbliska białych i przekonali się osobiście, że okrutne te istoty rzeczywiście muszą pochodzić od «gęsi i małpy». Za pracę i anielską cierpliwość, za lada błahym powodem, szczodrze płacili oni «żółtolicym» swym niewolnikom obelgami, naigrawaniem się lub chłostą.

Potulni Szaniowie nie odważali się nawet w wolnych chwilach porzucać swych brudnych, wstrętnych nor i czuli się dobrze tylko w towarzystwie równie, jak oni, prześladowanych «Synów Nieba». Tylko praca, ciężka, pożerająca świadomość praca służyła im za pocieszycielkę. Tylko przy tej pracy oczy ich ogarniały szersze widoki, ocierali się o rozrńaite przedmioty i czuli, że tworzą coś, że są ludźmi... Wówczas również cichła na chwilę ich tęsknota...

Przyznać należy, że pracy im nie szczędzono.

— Bracie mój, Ju, czy doprawdy żyć warto? — spytał pewnego razu Szań-si, wodząc wzrokiem po posępnej, nieprzejrzanej, błękitnej równinie, przez którą z tłumem współbraci sypał właśnie tor kolejowy.

— Dopóki życia, dopóty tylko nadziei, że ujrzymy nareszcie ojczyznę! — odrzekł porywczo Ju-lań.

— 0 tak! Żółte wąwozy Gań-su... widzę je, bracie, co noc widzę je, skoro tylko zamknę powieki.

— Szczęśliwyś... Do mnie nie przychodzą...

— Pszenicy łany kołyszą się na wysokich polach... — ciągnął w rozmarzeniu Szań-si. — Podobnych zbóż nie widziałem nigdy... Pamiętasz, jak, wracając do domu, bawiliśmy się w «słonia» z Gao-ju... Pewnie wyrósł już chłopak... Tyle lat!...

— Czego stoicie?! — rozległ się okrzyk wpobliżu. Bracia umilkli i wraz podnieśli łopaty.

Mijały dnie, miesiące, lata. Ich długi nie zmniejszały się wcale. Ju-lań spróbował nawet przeniknąć tajemnice tego dziwnego rachunku. Pokazali mu

książki, wydatki, obliczenia i ich umowę, z której kulis tylko tyle zrozumiał, iż sprzedali się w niewolę wieczystą.

W pewnem mieście do dzielnicy ich wpadła tłuszcza uzbrojonych białych robotników i wyrżnęła wszystkich, co nie zdążyli się schować lub uciec... Przyszły wojska, i biali walczyli z białymi, ale żółtych zginęło najwięcej.

Wkrótce potem popędzono ich nad morze, posadzono znowu na okręty i powieziono na zachód.

— Do ojczyzny, do Środkowego Państwa, do Państwa Kwiatów... — rozeszła się pogłoska.

Zapomnieli wszystko i przebaczyli wszystko. Wspominali tylko wypadki dobre, opowiadali tylko wypadki wzruszające... Nawet biali wydali im się przyjaciółmi, gdyż wieźli ich do tego słonecznego kraju, do ich kraju, gdzie nawet w krańcowej nędzy i poniżeniu oni czuli się ludźmi...

Istotnie po długiej podróży mijali Chiny. Serca powiedziały im o bliskości ich, odgadli je po ciepłych wilgotnych powiewach, po tęsknym niepokoju myśli. Ciężkie «dżonki» z ciemnemi żaglami i wysoko zadartemi uciętemi dziobami, spotykane na morzu, utrwaliły ich w domysłach. Wreszcie zamglił się woddali brzeg płaski i błotnisty. Parowiec skierował się do ujścia szerokiej Jan-tzy. Flotylla łódeczek otoczyła okręt, i miłe dźwięki mowy ojczystej obiły się o uszy wiezionych pod pokładem «Synów Podniebia».

— Nasi!... Czarnogłowi!... — krzyczeli wzburzeni i cisnęli się do otworów. Zamki, kraty zostały

złamane, straż odrzucona, i potok wzburzonych ludzi wylał się nazewnątrz. Skakali, śmiali się, zamieniali okrzyki z przybyłymi współziomkami i wyciągali ręce do dalekiej ziemi.

Ale już biegli ku nim majtkowie z pochylonemi bagnetami. Po chwili na pokładzie zostały tylko: krew i trupy z podartemi jelitami; żywych wrzucono bezlitośnie na łeb na szyję w otwarty otwór pomostu.

Przewieziono ich mimo Chin, gdyż... nie zapłacili jeszcze swych długów.

Wtedy stary Da-fyn ’) stracił cierpliwość, ulitował się nad swemi dziećmi i postanowił poplątać i zniweczyć rachuby chciwych rudych barbarzyńców.

Potężnym swym oddechem strącił niebo na ziemię i zmieszał chmury z pianą oceanu. Kilka dni fale przerzucały sobie ogromny parowiec, jak piłkę dziecinną.

Nawet nieulękli biali marynarze stracili odwagę i wyczerpani upadli na duchu.

Zamknięci na dnie okrętu kulisi, bez światła, bez powietrza i wody, zamienili się w jeden drgający kłąb pokręconych od boleści, obślizgłych od wymiotów ciał.

Nareszcie burza ucichła, i nad rozkołysanem, ale łagodniejszem stopniowo morzem wzeszło słońce czyste, złote, wykąpane w bałwanach burzy, otarte przez chmury. Statek bezsilnie zsuwał się po pochyłościach długich, płaskich fal. Na widnokręgu zaczer-

---

’) Nawałnica morska, którą Chińczycy wyobrażają sobie, jako potężnego smoka. Europejczycy zwą go «tajfunem».

niała ziemia. Na pokładzie pojawili się ludzie i zaczęli uprzątać połamane maszty, poprawiać uszkodzenia. Zastukała nieśmiało, umilkła na czas jakiś śruba parowca. Zadźwięczała urywana komenda; z pod pokładu przez kraty uchylonego otworu dobiegł do białych oprawców wielogłosy jęk...

Statek wyprostował się i popłynął. Ale bieg jego trwał niedługo. Wkrótce drgnął, trząsł, zatrzymał się nieruchomo i nawet zaprzestał kołysać.

Nieszczęśliwi, znękani morską chorobą kulisi, zaczęli wówczas odzyskiwać przytomność.

Szan-si jął szukać brata wśród splątanych ciał żywych i uduszonych towarzyszy.

— Ju-laniu, Ju-laniu! Gdzie jesteś? Czy żyjesz, bracie mój?!...

— Tu jestem... Żyje! Słyszysz: oni porzucają nas, uciekają... — krzyknął głos zgóry. Szań-si podniósł oczy i dostrzegł brata, wiszącego na rękach u kraty wyjścia.

Pośpieszyli ku niemu; wielu z obecnych uczyniło to samo. Jednocześnie wdole rozległ się wrzask:

— Woda!...

Ludzie powstali, i pnąc się wzajem na siebie, rzucili ku górze.

— Otwórzcie!... Wypuśćcie...

Na pokładzie było cicho, tak cicho, że w chwilach głębszego skupienia, uczepieni na drabinie otworu, Chińczycy słyszeli plusk fal, pieszczących boki okrętu, i słyszeli miarowe uderzenia wioseł odpływających łodzi ratunkowych.

Wdole pod nimi coraz wyżej i wyżej podnosiła się z właściwym jej szumem czarna woda topieli.

Trupy pomartych kulisów pływały po niej gęstą, zbitą warstwą, jak roje mucli, utopionych w słoju-pułapce. Raz wraz słychać było plusk nowych ofiar, spadających w milczeniu z tego wianka, co oplótł drabinę. Woda również wznosiła się wciąż i łykała cal po calu żywą girlandę.

Ostatni zginął Szan-si, wiszący u samej kraty na silnych ramionach z twarzą, zwróconą ku Niebu.



BIBLJOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

32. SIENKIEWICZ H. Pieszo przez Czarny Lad. (Listy z Afryki) II. Wyd. 3...................................... ‘............... 0-50
33. SIENKIEWICZ H. Na oceanie Atlantyckim. (Listy z podróży). Wyd. 3.. 030
34. SIENKIEWICZ H. Z puszczy amerykańskiej. (Listy z podróży). Wyd. 3.. 0-50
35. PRUS B. Kamizelka. — Michalko. Wyd. 4..................... 0-40
36. DYGASIŃSKI A. W puszczy. (Pół fantazji na tle wspomnień). Wyd. 3..
37. DYGASIŃSKI A. Wilk, psy i ludzie. Wyd. 3 . . .
38. BRODOWSKI F. W piwnicy. — Opowieść druga. — Na straży nieprzespanej...
39. TETMAJER K. Ksiądz Piotr. Nowela odznaczona I nagroda na konkursie «Czasu». Wydanie 4 0-25
40. GOMULICKI W. Chałat. Wyd. 2.................................. 030
41. ŻEROMSKI ST. Zmierzch. — Cokolwiek sie zdarzy Wyd. 3............... 0-20
42. SKARBEK FR. Łukasz Stempel. Wyd 2......................... 0'30
43. SKARBEK FR. Mundur. — Jaszczołt. Wyd. 2 . . . 0-25
44. SKARBEK FR. Dwie siostry. —Przewoźnik. Wyd. 2 030
48. ŻMICHOWSKA N. Prządki. Powieść ze wspomnień dziecinnego wieku..
49. SIENKIEWICZ H. Z puszczy Białowieskiej. Wyd. 3 . 0-35
50. SIENKIEWICZ H. Niewola tatarska. Urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego. Wyd. 4 . 0-50
51. SIENKIEWICZ H. Pójdźmy za Nim. Wydanie'3 . . 0.40
52. SKARGA PIOTR. Kazania Sejmowe. (Wybór). Z objaśnieniami Ignacego Chrzanowskiego 0-90
53. SIENKIEWICZ H. Za Chlebem. Wydanie 5 0-80
54. SIENKIEWICZ H. Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. Nowela. Wydanie 5... 0-30
55. SIENKIEWICZ H. Sielanka. Legenda żeglarska. Wydanie 3.. 0-30
56. SIEMIEŃSKI L. Portret króla Jana. Posłowie siewierscy. Wydanie 2.. 0-30
57. SIEMIEŃSKI L. Wieczór u generała Kopcia. Wiązanka konwalij. Wydanie 2.................................... . . 0-25
58. SIENKIEWICZ H. Orso. Sachem. Wydanie 3 0-50
59. GOMULICKI W. Oracz. Nieprzespany sen pani Madejowej. Filemon i Baucis... .
60. SMOLEŃSKI WŁ. Przyczyny upadku państwa polskiego. Wydanie 2.. 020
61. SEWER (Ign. Maciejowski). Łusia Burłak. Nowela na tle najprawdziwszych faktów osnuta. Wyd. 2 . . 0·65

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

62. SEWER. Wiosna. Obrazki malowane w słońcu. Wyd. 2 0'50
63. SEWER. Dola. Nowela. Wydanie 2.................................0'40
64. DYGASIŃSKI A. Co sie dzieje w gniazdach. Wyd 2
65. SIEROSZEWSKI W. Kulisi. Wyd. 2..............................
67. SIEROSZEWSKI W. Bokser. Wyd. 2............................
68. KACZKOWSKI Z. Bitwa o chorążankę. Wydanie 2 0’25
69. PRUS B. Cienie. Z legend dawnego Egiptu. W górach. Wydanie 3...0’30
70. KONOPNICKA M. Wojciech Zapala. Wyd. 3 . . . . 0’25
71. KONOPNICKA M. W Winiarskim forcie Wyd. 3 . . 0 25
72. KONOPNICKA M. Urbanowa. Wyd. 4 .... 0'25
74. LENARTOWICZ T. Wybór poezyj. Wyd. 3 0-50
75. KONDRATOWICZ L. Wybór poezyj. Wyd. 2 . . . 0-40
76. KONDRATOWICZ L. Janko Cmentarnik. Gawęda ludowa. Wyd. 3 .... 0’30
77. HOFFMANÓW A Z TAŃSKICH KL. Dziennik Franciszki Krasińskiej w ostatnich latach Augusta III pisany . ...
78. HOFFMANÓW A Z TAŃSKICH KL. Listy Elżbiety Rzeczyekiej do przyjaciółki swojej Urszuli za panowania Augusta III pisane. Wyd. 2....................................0’90
81. KRASZEWSKI J. I. Żywot i przygody hr. Gozdzkiego. — Pan starosta kaniowski. Wyd. 2..............................0'50
82. KRASZEWSKI J. I. Jak się dawniej listy pisały. Wyd. 2.................................... ‘................................... 0-25
83. KRASZEWSKI J. I. Psiarek. Opowiadanie. Wyd. 2 0'25
84. WILCZYŃSKI A. Przykładna kara. Opowiadanie .
86. CHODŹKO IGN. Domek mojego dziadka. — Śmierć mojego dziadka. Wyd. 3.. 0’35
87. CHODŹKO IGN. Boruny. Wyd. 2...................................0-40
88. GÓRSKI K. M. Bibljoman. Nowela. Wyd. *2* 0-30
89. LENARTOWICZ T. Zachwycenie. Wydanie *2* 0 20
90. KORZENIOWSKI J. Karpaccy górale. Dramat w 3-ch aktach. Wyd. 2... 0 50
91. KONDRATOWICZ L. (Syrokomla Wł.) Ułas. Sielanka bojowa z błot poleskich. Wvd. 2...................................... 0'35
92. KONDRATOWICZ L. Kęs" Chleba. Gawęda z pól nadniemeńskich. Wyd. 2...0'32
93. KONDRATOWICZ L. Urodzony Jan Dęboróg. Dzieje jego rodu, głowy i serca, przez niego samego opowiadane. Wyd. 3.. 0 50
94. KONDRATOWICZ L. Tręzlowe. Spowiedź pana Korsaka. Wyd. 2..0‘45

BIBLJOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

95. KONDRATOWICZ L. Wielki Czwartek. Obraz wioskowy. Wyd. 3 .... 0'30
96. ASNYK *A.* Wybór poezyj. Wyd. 3 .... 0'30
97. UJEJSKI K. Wybór poezyj ....
98. POL W. Pieśń o ziemi naszej. Wyd. 3 .... 0'40
99. WASILEWSKI EDM. Wybór poezyj ....
100. ZALESKI J. B. Wybór poezyj ....
101. CHRZANOWSKI IGN. Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza. Odczyt popularny, wygłoszony w Warszawie w Uniw. Lud. Pol. Macierzy Szk. w 1907 r. Wyd. 4 0'25
102. KRASICKI IGN. Bajki i przypowieści. Wybór. Wyd. 2 0'30
103. TETMAJER-PRZERWA K. Wybór poezyj. Wyd. 2 . 0-35
104. KASPROWICZ J. Wybór poezyj ....
105. NIEMCEWICZ URSYN J. Wybór poezyj. Wyd. 2 . 0'45
106. MORAWSKI FR. Bajki. Wybór. Wyd. 2 .... 0'35
107. ROMANOWSKI M. Wybór poezyj ....
108. BRODZIŃSKI K. Wybór poezyj ....
109. POL W. Wybór poezyj ....
110. ŻMICHOWSKA N. Wybór poezyj ....
111. OPPMAN A. (Or-Ot). Wybór poezyj. Wyd 2 . . . .
112. RODOĆ M. Satyry. Wybór ....
113. MORAWSKI FR. Wizyta w sąsiedztwo i Listy poetyckie. Wyd, 2 0-25
114. PIEŚNI GĘŚLARSKIE serbskie. — Car Łazarz, czyli bój Kossowski. Przekład J. B. Zaleskiego ....
115. ZIELIŃSKI G. Kirgiz. Powieść. Wyd. 2 .... 0'30
116. POL W. Przygody młodości JPana Benedykta Winnickiego. I. Wyd. 2 .... 0'30
117. ORZESZKOWA E. Bracia. Wyd. 2 .... 0'65
118. ORZESZKOWA E. Światło w ruinach. Wyd. 2 . . . 0'30
119. KUBALA L. Szkice historyczne. — Mieszczanin polski w XVII w. Wyd. 2 .... 0'45
120. KUBALA L. Oblężenie Lwowa w r. 1648. Wyd. 2 . 0'30
121. KUBALA L. Bitwa pod Beresteczkiem. Wyd. 2 . . 0'60
122. KUBALA L. Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem. Wyd. 2 0-50
123. SZAJNOCHA K. Wnuka króla Jana III. Wyd. 2 . . 0-40
124. SZAJNOCHA K. Barbara Radziwiłłówna. Wyd. 2 . 0'65
125. SZAJNOCHA K. Zdobycze pługa polskiego. — Brody krzyżackie. Wyd. 2 .... 0'25
126. SZAJNOCHA K. Zwycięstwo r. 1675 pode Lwowem. Wyd. 2 0-25

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

127. MICKIEWICZ A. Ballady i romanse. Wyd. 3 . . . 0’50
128. MICKIEWICZ A. Bajki i powiastki. Wyd. 2 0-30
129. MICKIEWICZ A. Liryki. Wyd. 2 . . .'.............................0’60
130. SŁOWACKI J. Ojciec zadżumionych. — W Szwajcarji. Wyd. 4..0'30
131. SŁOWACKI J. Jan Bielecki. — Mnich. — Arab. — Hugo. Wyd. 3...0'50
132. SŁOWACKI J. Mindowe. Król litewski. Obraz historyczny w 5 aktach. Wyd. 2..0'60
133. SŁOWACKI J. Złota czaszka. Szczątek dramatu. Wyd. 2.. *........................0-45
134. SŁOWACKI J. Marja Stuart. Wyd. 2...............................0 60
135. ORZESZKOWA E. Daleko. - Karjery. Wyd. 2 . . .0-30
136. ORZESZKOWA E. Śmierć w domu. Wyd. 2 . . . .0'30
137. ORZESZKOWA E. Dobra pani. Wyd. 3............. 0'45
138. ORZESZKOWA E. Panna Róża. Wyd. 2............0-45
141. KONOPNICKA M. Z liryk i obrazków. Wyd. 2 . . 0’40
142. NIEMCEWICZ J. U. Śpiewy historyczne. Wyd. 2 . 0-65
143. MICKIEWTCZ A. Sonety krymskie. — Farys. Wyd. 3 0’25
144. KRASIŃSKI Z. Liryki.' Wybór. Wyd. 2 zwiększone 0'60
145. BRODZIŃSKI K. Wiesław. Sielanka krakowska w pięciu pieśniach. Wyd. 5 . . MbŁ&fr........................... 0-20
146. KONDRATOWICZ L. Szkolne czasy. Nowe opowiadanie Jana Dęboroga. Wyd 2.. 0’25
147. SŁOWACKI J. Liryki. Wyd. 2 powiększone .... 0'60
148. MALCZEWSKI A. Marja. Powieść ukraińska. Wyd. 3 ' 0-35
149. FREDRO A. hr. Pan Geldhab. Komedja w 3 aktach wierszem. Wyd. 3..0'40
150. FREDRO A. hr. Zemsta za mur graniczny. Komedja w 4 aktach, wierszem. Wyd. 3..0'70
151. FREDRO A. hr. Śluby panieńskie czyli Magnetyzm serca. Komedja w 5 aktach, wierszem. Wyd. 3 . . . 0'70
152. KARPIŃSKIFR. i KNIAŹNIN D. Wybór poezyj. Wyd. 2 0-60
153. KORZENIOWSKI J. Mnich. Trag. w 3 aktach. Wyd. 2 0'75
154. KRASICKI I. Satyry i listy. Dopełnione podług krytycznego wydania L. Bernackiego. Wyd. 2 .... 0’70
155. NARUSZEWICZ A. Satyry. Wyd. 2 ."............................0'50
156. CALDERON DE LA BARCA. Książę Niezłomny. Tragedja w 3 aktach. Przekład J. Słowackiego. Wyd. 2 0'80
157. SCHILLER FR. Wilhelm Tell. Dramat. Przekład J. N. Kamińskiegó. Wyd. 2..0'80

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

158. SCHILLER FR. Dziewica Orleańska. Tragedja romantyczna w 5 aktach. Z prologiem. Przekład A. E. Odyńca...

159. BYRON. Giaur. Ułomki powieści tureckiej. Przekład A. Mickiewicza. Wyd. 2... 0’30

160. SCHILLER FR. Marja Stuart. Tragedja w 5 aktach. Przekład M. Budzyńskiego. Wyd. 2................................. 1-20

161. BYRON. Manfred. Przekl. Fr. Morawskieg'0. Wyd. 2 . 0’40

162. BYRON. Więzień Czyllonu. Przekład Fr. Morawskiego. Wyd. 2... 0T5

163. SZYMAŃSKI A. Stolarz Kowalski. Opowiadanie syberyjskie ....… o-3O

164. SŁOWACKI J. Anhelli. Wyd. 3 zupełne......................... 0-35

165. KRASIŃSKI Z. Przedświt. Wyd. 2..................................0'50

166. MICKIEWICZ A. Konrad Wallenrod. Powieść historyczna z dziejów litewskich i pruskich. Wyd. 3 . . 0-50

167. MICKIEWICZ A. Grażyna. Wyd. 4.................................0’30

168. SZEKSPIR W. Sen nocy letniej. Baśń dramatyczna w 5 aktach. Przekł. St. Kożmiana. Wyd. 2 0-60

169. ŚWIĘTOCHOWSKI AL. Hymn niemych. — Woły Wyd. 2...'.........................0-20

170. DYNOWSKA M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego: Bielski, Górnicki, Stryjkowski, Paprocki . 0’35

171. SZEKSPIR W. Hamlet. Tragedja w 5 akt. Przekl. J. Paszkowskiego. Wyd. 2... 0’90

172. SZEKSPIR W. Makbet. Tragedja w 5 akt. Przekład J. Paszkowskiego. Wyd. 3... 0-70

173. SZEKSPIR W. Romeo i Julja. Tragedja w 5 aktach. Przekl. J. Paszkowskiego. Wyd. 2.................................... 0-70

174. SZEKSPIR W. Król Lir. Tragedja w 5 akt. Przekl. J. Paszkowskiego. Wyd. 2..090

175. SZEKSPIR W. Otello. Tragedja w 5 akt. Przekład J. Paszkowskiego. Wyd. 2..0'80

176. MOŚCICKI H. Wernyhora. — Ksiądz Marek. Wyd. 2 0’25

177. CZARTORYSKI A. Katechizm rycerski. Wydal i przedmową poprzedził H. Mościcki. Wyd. 2 . . . 0-50

179. KATECHIZM NARODOWY z 1791 r. Wydal H. Mościcki. Wyd. 2...0-30

180. REYMONT WŁ. ST. Z ziemi chełmskiej. Wrażenia i notatki. Wyd. 3...0-80

181. PRUS B. Omyłka. Wvd. 2... 0'65

182. ROMANOWSKI M. Liryki...0’40

183. PRUS B. Grzechy dzieciństwa. Wyd. 2.......................... 0’80

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

184. SZUJSKI J. Chocim i Cecora. Wyd. 2............................0-30
185. SZUJSKI J. Tadeusz Rejtan,na Sejmie 1773 r. Wyd. 2 0-30
186. SŁOWACKI J. Grób Agamemnona. — Testament mój. W oprać. I. Chrzanowskiego....................................0'75
187. PAPKĘ F. Z dziejów rozwoju miast w Polsce . . .
188. CHRZANOWSKI I. Liryka patrjotyczna Asnyka . . 0-25
189. ASNYK A. (El...y). Poezje patriotyczne i społeczne (Wybór)..0-40
190. SHAKESPEARE W. (Szekspir). Juljusz Cezar. Tragedia w 5 aktach. Tłumaczenie A. Pajgerta. Wyd. 2 0 90
191. HOFFMANÓW A Z TAŃSKICH KL. Obiad czwartkowy. Opis wyjęty z nieznanych dotąd pamiętników 0’25
192. KOCHANOWSKI J. Treny 0-20
193. OPPMAN A. Pieśni o księciu Józefie..............................0-25
194. SZUJSKI J. Bartosz Głowacki. (Ostatnia nobilitacja). Z przedmowa II. Mościckiego. Wvd. 2............................0 o0
195. GOMULICKI* W. Wybór poezyj '................................. 0-25
196. SŁOŃSKI EDW. Wybór poezyj. «Ta co nie zginęła...» 0'30
197. KORZENIOWSKI J. Wąsy i peruka. Komedja w 3 aktach..040
198. KRASICKI I. Powieść o narożnej kamienicy .... 0’30
199. SZAJNOCHA K. Matka Jagiellonów. Szkic historycz. 0-25
200. MOLIERE J. Skąpiec. Komedja w 5 aktach. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy)... 0’60
201. ŻÓŁKIEWSKI ST. Początek i progres wojny moskiewskiej ....,..0’60
202. SMOLEŃSKI WŁ. Znaczenie Tadeusza Kościuszki w dziejach polskich... Z powodu setnej rocznicy śmierci Najwyższego Naczelnika siły zbrojnej narodowej . . 0 20
203. BYRON. Korsarz. Powieść. Wyd. 2...............................
204. SZAJNOCHA K. O «łaźni» Bolesława Chrobrego. Kopja husarska. Szkice historyczne................................0’25
205. SMOLEŃSKI WŁ. Znaczenie konstytucji 3-go maja. Z powodu 125-ej rocznicy ogłoszenia konstytucji. .
206. SŁOWACKI J. Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską.. 0’30
207. POL W. Wit Stwosz. Poemat...0'40
208. DUBIECKI M. Bohaterski Naczelnik powstania styczniowego (Romuald Traugutt)... 0-35
209. ZMORSKI R. Wybór poezyj. Przedmową poprzedził Wl. Korotyński.................. •..0'30
210. OPPMAN A. Pieśni o belwederskiein powstaniu . . 0'25